

# STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI  
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:

WARSZAWA

CHŁODNA 17, TEL. 257-26  
skrz. poczt. 113.

KONTO P. K. O. Nr. 4.043.

Godziny przyjęć: codziennie prócz  
sobót i niedziel — Redakcji  
i Administracji 11 — 14.

Rękopisów nie zwraca się.

## TREŚĆ NUMERU:

Dr. M. KLEINBAUM — Żydzi a Genewa  
LEOPOLD HALPERN — Z. N. P. — symbol ewolucji reżymu  
Inż. A. GLIZER — Walka o imigrację  
OUTSIDER — Spieszo panom, spieszo!  
WIKTOR KLEMENS — Ambasador Dodd  
HANS LICHTWITZ — Bilans rewizjonizmu  
J. MAJUS — Ekonomia żydowska  
OSKAR WOLFSBERG — Plan Akademii Hebrajskiej  
J. BLEIBERG — Apostoła pesymizmu o miłość  
MAURACY SZYMEL — Miłość od wiersza  
LEON BAUMBERG — „Polska będzie — zobaczysz...“  
ELG — To i owo  
Wydarzenia i Odgłosy — Antena Świata.  
STER MŁODYCH.

6 lutego 1938

WARSZAWA

5 adar 5698

Dr M. KLEINBAUM

## ŻYDZI A GENEWA

Sprawy żydowskie dość często znajdują się na porządku dziennym obrad Ligi Narodów. Dopiero na jesiennej sesji na czoło rozpraw wysunęła się kwestia podziału Palestyny i powstania państwa żydowskiego, a już na sesji styczniowej znów żydowska sprawa (zarządzenia antysemitki nowego rządu Rumunii) zaprzętała uwagę opinii międzynarodowej. O ile co do zasadniczego stosunku, stosunku bardziej niż pozytywnego wobec Ligi Narodów, jej idei, celów i wysokiego posłannictwa istnieje w całym społeczeństwie żydowskim rzadka jednomyślność, o tyle los petycji żydowskich przeciw rządowi bukareszteńskiemu wywołał w prasie żydowskiej odgłosy różne, nie zawsze trzeźwością sądu i realizmem politycznym nacechowane.

Gdy się żywi wielkie a nieuzasadnione nadzieje, gdy się ulega złudnym oczekiwaniom niezwykłych sukcesów, gdy się zatracza zmysł rzeczywistości i pozwala wyobraźni tworzyć miraż, — musi się w końcu przeżyć rozczarowanie. Nie uniknął zapewne rozczarowania publicysta żydowski, który wierzył (bo tak pisał), że w Genewie się rozstrzygnie los Żydów rumuńskich, że cała przyszłość żydowska bodaj zależy od tych kilku dni rozmów dyplomatycznych nad Lemanem. Takie uprzedzenie sytuacji budzi wprawdę przesadny optymizm, który szybko pod obuchem twardej rzeczywistości musi ustąpić nastrojom defetystycznym i rozgoryczeniu.

Taką samą przesadą, choć ze strony przeciwniej jest ciskanie gromów na instytucję genewską, dlaczego nie znalazła w sobie dość odwagi, by głośno i dobitnie powiedzieć p. Micescu prawdę w oczy, chociażby to miało nawet pociągnąć za sobą wystąpienie Rumunii z Ligi.

Gdyby Liga uchwaliła nagłość petycji żydowskich przeciw rządowi rumuńskiemu, p. Micescu z miejsca wypowiedziałby traktat o ochronie mniejszości. Reakcja Ligi musiałaby tym razem wypaść znacznie ostrzej, niż po deklaracji p. min. Becka na jesieni 1934 r., gdyż deklaracja ta wyszła z założenia potrzeby generalizacji ochrony mniejszości, a nadto zawierała ustęp z zapewnieniem dalszego przestrzegania równych praw mniejszości w Polsce. Wypowiedzenie natomiast traktatu mniejszościowego przez Rumunię w chwili brutalnego gwałcenia praw mniejszości w tym kraju i ciągłych zapowiedzi ich całkowitego zlikwidowania musiałyby wywołać odpowiedź mocarstw zachodnich tak ostrą, że wystąpienie Rumunii z Ligi stałoby się rzeczą naturalną. Wystąpienie zaś Rumunii w dobie obecnej, gdy szereg państw żąda reformy Ligi na rzecz uniwersalności kosztem ideowej jednolitości i organizacyjnej sprężystości instytucji, mogłoby pociągnąć za sobą zaważenie się całego nadwyrężonego gmachu Pałacu Narodów. Powstaje tedy pytanie: co byłoby dla narodu żydowskiego dotkliwszym ciosem — skierowanie petycji na drogę procedury zwykłej, nie przyspieszonej, czy też bankructwo Ligi Narodów, wywołane przez exodus Rumunii, a może i innych państw, które wolałyby się pozbyć systemu nie podzielonego pokoju, bezpieczeństwa zbiorowego i międzynarodowej ochrony pokoju? Naszym skromnym zdaniem upadek Ligi byłby w swych następstwach dla nas stratą większą, niż odroczenie petycji.

Naturalnie, oburzeni jesteśmy, że Genewa nie położyła kresu bezprawiu, dziejącemu się naszym braciom w Rumunii, że łamanie prawa i zobowiązań międzynarodowych uchodzi bezkarnie, ale nie jesteśmy jedyni, którym Liga nie zdołała zapewnić dostatecznej opieki i ochrony. Czy Liga obroniła Chiny? Czy zachowała Abisynii niepodległość?

Czy zabezpieczyła krwawiącą Hiszpanię przed natrętną interwencją czynników obcych? Spotkał nas, Żydów, na ostatniej sesji Ligi ten sam zawód, jakiego już doznały przed nami inne narody słabe, bezbronne, zwyciężone. Atoli i wielkim mocarstwem Liga nie jest w stanie zapewnić tych wszystkich dobrodziejstw, którym ona teoretycznie rozporządza. Czy Wielka Brytania i Francja zrobiły użytek ze wszystkich postanowień

paktu ligowego, któreby w pełnym zastosowaniu naprawdę mogły stanowić skuteczną ochronę ich interesów mocarstwowych, zagrożonych wczoraj przez najazd włoski w Afryce i przez niemiecko-włoską akcję na półwyspie Iberyjskim, a dziś przez agresję Japonii wobec Chin? Czy doszczętne złamanie traktatu wersalskiego przez Niemcy napotkało na jakiegokolwiek sankcje ze strony państw koalicji, głównie zaś ze strony

Francji, choćby tylko w najniebezpieczniejszym momencie — militaryzacji Nadrenii? Wszystkie te retoryczne pytania świadczą, że nie tylko wobec Żydów Liga nie spełniła w całej rozciągłości swego zadania. Instytucja ta jest zbyt osłabiona, by mogła pełnić wszystkie swe funkcje, w ich ograniczaniu widzą więc mocarstwa zachodnie najsukcesowniej sposób przetrwania obecnego przesilenia.

Jeśli mamy podstawę do żalu, to nie dlatego, jakoby sprawę żydowską potraktowano gorzej, niż inne, tylko że właśnie zastosowano do niej miarę ogólną, a nie wyróżniono jej, nie uwzględniono tego wyjątkowego położenia Żydów, którzy poza Ligą nie rozporządzają żadną inną siłą obronną, w odróżnieniu od wszystkich choćby najstarszych członków Ligi. Wielkie mocarstwa zastosowały taktykę „patrzania i czekania” na styczniowej sesji Rady, by się nie takiego nie stało, coby sytuację mogło zaostriżyć i pogorszyć. Primum non nocere. Cenę tej taktyki zapłaciliśmy my, Żydzi, ale nie tylko my...

Trzeba oddać sprawiedliwość delegacjom Francji i Anglii, że na drodze bezpośredniej w rozmowach z ministrem bukareszteńskim zrobiły wszystko, by wziąć w obronę żydostwo rumuńskie. Osiągnęły przecież nawet sukces po długim nacisku na p. Micescu, — sukces, który udaremnił rząd bukareszteński, dezawuuując swego ministra spraw zagranicznych. Ale mimo, że p. Micescu deklaracji swej o powstrzymaniu się aż do wyborów od wszelkich zarządzeń antyżydowskich nie złożył, to jednak nie omisszka zapewne donieść swemu rządowi, jak dalece awanturnicza polityka wewnętrzna może zaszkodzić pozycji kraju na arenie międzynarodowej, przynajmniej póki Londyn i Paryż nie straciły swego kierowniczego stanowiska.

Powaga chwili wymaga od nas trzeźwego stosunku do tak ważnego regulatora życia międzynarodowego, jakim mimo wszystko jest jeszcze Liga. Odbywają się teraz debaty nad reformą Ligi. Oczywiście wolelibyśmy, aby Liga zachowała swój charakter i ideę i art. 16 paktu bodaj że bez braku uniwersalności. Ale w tym zainteresowane są także („także...”) wielkie mocarstwa demokratyczne; jeśli one będą musiały ulec naciskowi państw nieobecnych i neutralnych, to będzie to dla nich cios nie mniejszy, niż dla nas. Pod czym więc adresem skierować nasz żal.

Dążymy naturalnie do wzmocnienia Ligi, ale musimy być przygotowani do obrony naszego bytu narodowego także bez Genewy, bo nie od nas zależy zejście kryzysu ligowego. Musimy liczyć w pierwszym rzędzie na własne siły, a po tym dopiero na naszych sprzymierzeńców — państwa, narody i obozy demokratyczne; pomoc Ligi w naszych rachubach znaleźć się winna gdzieś na trzecim planie. Lepiej bowiem czynić rachuby pesymistyczne, niż doznawać zawodów i rozczarowań.

Jeśli już omawiamy krytycznie głosy prasy żydowskiej ex re sesji genewskiej, to chcemy w końcu naprawić krzywdę, wyrządzoną niesłusznie naszej reprezentacji w Genewie, głównie dr. Naumowi Goldmannowi, któremu czyni się nieuzasadniony zarzut, że mając na oku sprawę Palestyny, przemilcza rzekomo krzywdy żydowskie w krajach europejskich, których rządy popierają żądania polityczne syjonizmu. Tak prosto nie jest. Sam fakt, że właśnie dr. Goldmann, który jest delegatem Egzekutywy Syjonistycznej w Genewie, wniósł pierwszy petycję (jedyną, którą Rada potraktowała poważnie, bo była doskonale sformułowana) przeciw Rumunii, która ma referat w sprawie palestyńskiej, — już ten fakt świadczy wymownie, że zarzut postępowania spraw diasporę przez syjonistów jest gołosłowny.

Koalicja, która powstała: antysemita referentem Ligi w sprawie Palestyny, — nasuwa nam inny zgola wniosek, ten mianowicie, że winniśmy czymprędzej doprowadzić do powstania Państwa Żydowskiego, by uniezależnić syjonizm od przestarzałego regime'u mandatowego.

## LEOPOLD HALPERN

### Z. N. P. — symbol ewolucji reżymu

Wkrótce zbierze się ogólnopolski zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego, powołany do wyboru zarządu organizacji, który przejmie władzę z rąk obecnego komisarycznego kuratora. Znaczenie polityczne tego wydarzenia przekroczy granice spraw czysto nauczycielskich i szkolno-oświatowych, bo przecież koleje losów żadnej może organizacji społecznej nie były tak silnie związane z ewolucją obozu piśsudczykowskiemu i reżymu „sanacyjnego”, jak dzieje Związku Nauczycielstwa Polskiego. Toteż mało było ostatnio posunięć wewnątrz - politycznych rządu, równie charakterystycznych dla obecnej fazy ewolucyjnej obozu pomajowego, jak te które poczyniono w stosunku do Z. N. P. (rozwiązanie legalnie wybranego Zarządu, powierzenie komisarycznych rządów nad postępowym i demokratycznym nauczycielstwem polskim b. oenerowcowi, działającemu obecnie w Zw. Mł. Polski, odwołanie tegoż i mianowanie kuratorem urzędnika ministerialnego, likwidowanie przez nowego kuratora musiołkowskich nabytków, wreszcie przygotowanie zjazdu krajowego, który w sposób demokratyczny wybierze nowe władze).

W polityce wewnętrznej: zwrot na lewo — skok na prawo — kompromis. W. Z. N. P. ewolucja identyczna: K o l a n k o — M u s i o ł — M a c i e s z e w s k i. Wiadomo, że K o l a n k o, to lewicowy piśsudczyk. M u s i o ł — to „sanacyjna” prawica a p. M a c i e s z e w s k i jest apolitycznym urzędnikiem. Obecna faza (w obozie rządzącym i w Z. N. P.) jest więc kompromisowa. Kompromisy mają zazwyczaj charakter przejściowy. Co po nich nastąpi?

Dzieje ruchu zawodowo-społecznego nauczycielstwa polskiego są ściśle związane z dziejami walk o niepodległość. Tak, jak szkoła polska była jednym z najcenniejszych elementów wymarzonego ideału wolności narodowej i politycznej, tak też nauczyciel polski był jednym z najczynniejszych i najdzielniejszych bojowników o Polskę Wolną i Niezawisłą. We wszystkich trzech zaborach od pierwszych lat naszego stulecia istniały, często nielegalne załęki organizacyjne polskiego nauczycielstwa; w r. 1919 z tych kół, kółek i organizacji powstał Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, obejmujący u swych narodzin przeszło 17.000 członków. W r. 1930 do Z. P. N. S. P. przystąpił Związek Zawodowy Nauczycielstwa Polskich Szkół Powszechnych, a zjednoczona organizacja otrzymała obecną nazwę Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Obecnie Z. N. P. liczy pięćdziesiąt

kilka tysięcy zorganizowanych członków, posiada 1,5 miliona wpływów ze składek członkowskich, rozporządza majątkiem w postaci licznych domów wypoczynkowych i sanatoriów, oraz bloku gmachów w Warszawie. W każdym prawie mieście powiatowym istnieje jakiś lokal Z. N. P., j. n. p. świetlica, dom własny, czy inny ośrodek kulturalno - oświatowy. Z. N. P. rozporządza własną księgarnią i wydawnictwem „Nasza Książka” oraz własną drukarnią w stolicy. Wydawnictwo to wydaje liczne czasopisma pedagogiczne, młodzieżowe i dziecięce. Zasługi Z. N. P. dla nauczycielstwa, społeczeństwa i państwa — są poważne (np. na cele ogólnopolskie Z. N. P. wpłaca rocznie 172.000 zł.).

Istota siły, znaczenia i wpływu organizacji nauczycielstwa polskiego nie ogranicza się wszakże do sfery materialnej i zawodowej. Z. N. P. jest poważnym czynnikiem, wpływającym na kształtowanie się polskiej opinii publicznej. Wypływa to z wyjątkowego stosunku nauczyciela, który, na prowincji zwłaszcza, jest żywym ośrodkiem promieniowania oświaty, uświadamienia obywatelskiego i często, aktywności politycznej.

Z. N. P. jest i musi być w swych założeniach organizacją apolityczną, co zresztą dobitnie podkreślone zostało w deklaracji ideowej z 15 kwietnia 1919 r. Wolno jednak podobnej organizacji, grupującej w swych szeregach jeden z najświetlejszych elementów społeczeństwa, walczącej o zwycięstwo oświaty i postępu nad obskurantyzmem i reakcją. Ta walka była też jednym z założeń ideowych Związku.

W walce tej zwłaszcza gdy chodzi o pierwszy okres niepodległości, organizacja nauczycielstwa polskiego skupiała w okół siebie elementy postępowe i demokratyczne społeczeństwa polskiego, a więc głównie demokratycznych piśsudczyków, pepesowców i ludowych radykałów. Ci pierwsi odgrywali w niej rolę najbardziej czynną, mieli też największy wpływ na kierownictwo Związku. Okoliczność ta tłumaczy, czemu to właśnie linia ewolucyjna Z. N. P. po przewrocie majowym pokrywała się niemal z linią piśsudczykowskiej lewicy. Ten sam punkt wyjścia, te same złudzenia i błędy, te same grzechy.

Albowiem złożyło się tak paradoksalnie i społecznie wysoce anormalnie, że postępowe i demokratyczne nauczycielstwo zrzeszone w Z. N. P., także po r. 1928, a nawet 1930, pozostało w obozie „sanacyjnym”; więcej: w latach 1928 — 1935 tworzyło faktyczny trzon organizacyjny B. B. W. R. i jego awangardę w czasie rozmaitych akcji wyborczych. Ten stan doprowadzał do permanentnych konfliktów pomiędzy ideowym nastawieniem znakomitej większości nauczycielstwa a konkretnymi przejawami jego oby-

telskiej działalności. Albowiem nauczycielstwo polskie pozostało demokratyczne i postępowe w swym ideowym nastawieniu — chociaż organizacyjnie i politycznie stało się narzędziem zdecydowanie antydemokratycznych i często reakcyjnych poczynań „sanacji”. Zewnętrznym objawem tej ideowo-politycznej „dekompozycji” był chociażby fakt ukazywania się na łamach czolowego organu Z. N. P. zdeklarowanie opozycyjnych artykułów w obronie zagrożonej oświaty ludu w tym samym niemal czasie, gdy posłowie nauczycielscy na ławach B.B. mniej lub więcej milcząco aprobowali politykę rządu na odnośnym odcinku. Wskazywaliśmy już na społeczną amoralność takiego rozdwojenia, wzywając przy tej sposobności demokratyczne i postępowe elementy nauczycielstwa polskiego do wyciągnięcia opozycyjnych konsekwencji z opozycyjnych słów i artykułów.

Konsekwencje zostały wyciągnięte, o rozdwojenie usunięte — pod wpływem wielkich przeobrażeń, którym oboz piśsudczykowski począł podlegać, gdy nie stało J ó z e f a P i ł s u d s k i e g o. Równoległe do zmiany taktyki piśsudczykowskiej lewicy, która w odpowiedzi na koncepcje „zjednoczeniowe” na hołdy składane R o m a n o w i D m o w s k i e m u, na bratanie się z „Falangą” i R u t k o w s k i m i i przeszła do zdecydowanej orientacji na opozycyjną demokrację polską — także Z. N. P. coraz to wyraźniej i aktywniej począł się deklarować po stronie obozu postępu i przeciw reakcji.

Sytuacja w przededniu zjazdu nauczycielstwa polskiego przedstawia się następująco:

Pomysł narzucenia Z. N. P. roli awangardy Zw. Mł. Pol., tak jak dawniej stanowił awangardę B.B.W.R., pomysł, który zamierzano urzeczywistnić przy pomocy środków ultra - drastycznych — został, zdaje się, zaniechany. Wśród demokratycznej części społeczeństwa powstała istna burza przeciw takim pomysłom. Obecny kurator sprawować będzie władzę do zjazdu, po którym wniemien ją przekazać legalnie w y b r a n y m władzom. Jaki będzie wynik swobodnych, demokratycznych wyborów w Z.N.P. — dla nikogo nie ulega wątpliwości. W d e m o k r a t y c z n y c h w y b o r a c z w y c i ę ż y d e m o k r a c j a. Stąd wznowienie hecy przeciw Z. N. P. ze strony elementów reakcyjnych, hecy, która nie cofa się nawet przed postępowaniem się denuncjacją na łamach prasy.

Kto zwycięży na zjeździe Z.N.P. — wola większości, czy też intrygi aranzatorów hecy? Kto zwycięży w kraju — wola demokratycznej większości społeczeństwa, która znajdzie swój wyraz w demokratycznych wyborach, czy też znowu sztuczne środki i fortele reakcji?



# WYDARZENIA I ODGŁOSY

## Nie powtarzać dawnych błędów!

Dziś nie ma już w całym kraju ani jednego polityka, publicysty czy obywatela, któryby zdecydował się ja wnie kruszyć kopie w obronie ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych z r. 1935. I to nie tylko w szeregach wszystkich odłamów opozycji — ta była przecież od pierwszej chwili przeciwna pomysłom wyborczym pp. Sławka, Kosińskiego i Podoskiego — ale także w samym obozie rządzącym, więcej: wśród parlamentarzystów, którzy dzięki obecnej ordynacji wyborczej zasiadają w sejmie i senacie.

Wolanie o nową, demokratyczną i pozbawioną sztuczności ordynację wyborczą stało się podstawowym i w chwili obecnej górującym postulatem najszerszych mas oraz ich wielkich organizacji politycznych. Znalazło ono wyraz w czasie audyencji na Zamku Leucy opozycyjnej (P.P.S.) i piśmniczykowskiej (Klub Demokratyczny), przedostawało się nawet do szeregów Ożonu.

Cały kraj pojął, że parlament, jeśli ma być rzeczywistą reprezentacją ludności, nie śmie opierać się na fikcjach. Cały kraj doszedł do wniosku, że w roku 1935 popełniono duży błąd. Błędy nie są wszakże wieczne — ich naprawa zawsze prawie jest w polityce możliwa. Gorzej, po stokroć gorzej wtedy, gdy powtarza się stare błędy. Wtedy nie można się już bronić ryzykiem eksperymentowania, ani nieświadomością zasłaniając, wtedy popełnia się błędy z premedytacją!

Ostatnie tygodnie przyniosły nam zapowiedź możliwości powtórzenia błędów z r. 1935 na trzech doniosłych odcinkach życia społeczno-politycznego: w organizacji palestry, w samorządzie

terytorialnym i — znowu w ciałach ustawodawczych.

Rozpatrywany w podkomisji prawniczej sejmowy projekt rządowy zmiany ustawy o organizacji adwokatury wprowadza do przepisów o powoływaniu instancji samorządu zawodowego palestry (Naczelna Rada Adwokacka, Okręgowe Rady Adwokackie, sądy dyscyplinarne) element nominacji, zatwierdzenia lub odrzucenia wyboru przez ministra i kooptacji. W sposób zdecydowanie sztuczny i zupełnie przejrzyisty projekt zmierza do uniemożliwienia państwu wyboru takich reprezentantów, do których w swej większości żywi zaufanie. W szczególności wyraźny sposób projekt zagraża prawu reprezentacji w organach samorządu palestry adwokatom mniejszości narodowych.

Uchwalony przez Radę Ministrów projekt ordynacji wyborczej do Rad Miejskich w stolicy i w wielkich miastach wprowadza sztuczny i skomplikowany moment wielokrotności wyborczej. Około 2/3 radnych ma wybierać ogół ludności w głosowaniu powszechnym, około 1/3 radnych — różne organizacje gospodarcze i zawodowe. W ten sposób część ludności, należąca do tych organizacji, będzie uprzywilejowana w stosunku do ogółu, głosując dwukrotnie: raz w powszechnych wyborach i drugi w swej organizacji. Większość radziecka, która wyjdzie z powszechnych wyborów, a więc reprezentacja większości wyborców, może nie mieć większości w Radzie Miejskiej, bo przecież 1/3 radnych „gospodarzo-zawodowych” może wpłynąć wespół z mniejszością radnych wybranych w głosowaniu powszechnym na utworzenie sztucznej większości.

Zgłoszony do laski marszałkowskiej projekt ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych, opracowany przez po-

sła Ducha stanowi próbę pogodzenia zasad dawnej ordynacji wyborczej z koncepcją ordynacji wyborczej z r. 1935. Kandydaci na posłów mają być nadal zgłaszani nie jak dawniej przez samych wyborców, ale przez zgromadzenia okręgowe. Inowacja polega na tym, że prawo zgłaszania list kandydatów ma przysługiwać nie większości zgromadzenia okręgowego, ale każdemu 10 delegatom. Okręgi wyborcze mają być nadal małe, bo wybierające po 3 posłów. W obliczu tych zasadniczych przepisów, małe znaczenie mają inne punkty projektu, wprowadzające pewne polepszenie ordynacji wyborczej z r. 1935 (np. przywrócenie listy państwowej). Projekt posła Ducha nie wprowadza dwóch najbardziej zasadniczych warunków demokratyzacji prawa wyborczego: prawa zgłaszania list kandydatów przez samych wyborców i pełnej proporcjonalności — nie mówiąc już o wielu innych rzeczach. A więc znowu: sztuczne przepisy, mające na celu zmianę wyrazu naturalnej woli obywateli.

Dwa i pół roku eksperymentowania reprezentacji, wybranej w taki właśnie sztuczny sposób, wykazały, że żadna zmiana ordynacji nie zmieni rzeczywistego oblicza politycznego obywateli państwa, że przeciwnie, jest źródłem wielkich i stałych trudności oraz komplikacji politycznych. Czemuż więc zamierza się powtarzać dawne błędy?

## Głos ma poseł Zaklika...

Pocóż wszakże mamy argumentować za demokratyzacją prawa wyborczego i przestrzegać kogo należy przed powtarzaniem starych błędów, skoro całkiem wymownie wypowiadają się w tymże duchu rozsądniejsi politycznie posłowie... obecnego sejmu.

Przysłuchajmy się choćby dobrze wywodom p. posła Zakliki z Małopolski Wsch., wypowiedzianym w komisji budżetowej sejmu w dyskusji nad budżetem Min. Spraw Wewn. Pan Zaklika miał odwagę stwierdzić, że dramatyczny strajk chłopski z ubiegłego lata miał przede wszystkim podłoże polityczne: chłopi chcą powrotu do kraju swoich przywódców, chłopi chcą współdecydować o losach Państwa, chcą reprezentacji w parlamencie. A reprezentacji tej teraz nie mają — przyznał p. poseł Zaklika — tu źródło niezadowolonia i jego drastycznych, często, następstw. Dlatego pan Zaklika, mimo, że jest konserwatystą, ziemianinem i posłem z r. 1935 — wypowiedział się za tym, by w sali sejmowej zasiadł poseł Gruska ze Stronnictwa Ludowego, i, by ministrem spraw wewnętrznych został Maciej Rataj. Albowiem racja Państwa winna być wyższa od interesów grupy, klasy czy „oboza”. Racja ta domaga się dopuszczenia ogółu obywateli do współodpowiedzialności za losy Rzeczypospolitej.

## „Synarchizm” — albo koniec cywilizacji

„Synarchizm wcześniej czy później stanie się nową formą i nową treścią cywilizacji, albo jej cywilizacji wcale nie będzie”. Co? Albo synarchizm — albo koniec cywilizacji? A cóż to jest ten synarchizm? Uspokójmy przestraszone chyba nie na żarty czytelnika: synarchizm, to jedna z licznych ostatnio zabawek politycznych, którą tym razem poczęł się zabawiać niejaki p. Włodzimierz Tarło - Maziński. Posłuchajmy więc, co o nim pisze „Polityka”.

„Zamiatanie do oryginalności nie wymiera jednak w narodzie. Exempulum wychodzący w Warszawie „Synarchista” organ konfederacji synarchicznej, a ściślej nowego Męza Opatrznościowego narodu niejakiego Włodzimierza Tarła - Mazińskiego. Konterfekt na pierwszej stronie zapoznaje nas z fizycznym wyglądem „dziś Wodza Konfederacji Synarchicznej, jutro — Synarchy”. Dobrotliwe, acz zacięte rysy twarzy, czarny płaszcz z barankowym kołnierzem, takąż szewczenkowska czapa... Na co panu zeszło, panie Włodzimierzu? Synarchę odstawiać?”

A teraz udzielił głosu „Synarchicie”, który w artykule „Wódz” pisze: „Twórcą tego ośrodka myśli filozoficznej, społecznej, politycznej, gospodarczej, moralnej w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu — obywatelskiej — był Włodzimierz Tarło-Maziński, inżynier i doktor filozofii. Prezes kilku instytucji społecznych w Warszawie.

Czytelnicy naszego pisma wiedzą wszyscy czym jest Synarchia. I wie-

dzą dobrze, że ten skromny kiedyś związek obudzonego sumienia narodowego stanowi dziś, nawet materialnie rzecz biorąc, poważny czynnik naszego życia zbiorowego, a niebawem stanie się siłą, która — widocznie dla wszystkich — grać będzie pierwsze skrzypce w dalszych dziejach Polski.

Twórcą tego systemu polskiego życia zbiorowego, zwanego Synarchizmem, gdyby nie zrobił już nic innego w życiu, będzie po wszystkie czasy figurował w encyklopediach jako ten, kto ucieleśnił organizacyjnie zaczątki nowego okresu dziejowego w ogóle, Synarchizm bowiem, wcześniej czy później — stanie się nową formą i nową treścią cywilizacji, albo tej cywilizacji wcale nie będzie.

Ktokolwiek się zetknął z Drem Tarło - Mazińskim, ten — jeżeli jest obdarzony pewną inteligencją i zdolnością badania — poznal niewątpliwie, że rozmawia z człowiekiem, który się kategorycznie różni od wszystkich innych, że to co on mówi, jest całkowicie sformowane, przetrwało, wypracowane i integralne, że jest to człowiek autorytetu z siebie samego, pomimo wielkiej skromności życia, że jest to człowiek odważny i wiedzający dokąd idzie i dokąd prowadzi.

On stworzył synarchiczny światopogląd i synarchiczny system państwowo-społeczny, który będzie ustrojem najbliższej Polski. O nim to trzeba powiedzieć te słowa, którymi określiliśmy w naszym pierwszym artykule w Nr 8 „Synarchisty” woda, iż jest to ten, kto wydobyla na jaw w sposób nieoczekiwany dla społeczeństwa nowe siły ukryte głęboko w podświadomości narodów, kto stwarza nowe zupełnie wartości i tworzywa niewidzialnego, uruchamia imponderabilia psychiki narodowej, materializuje energię, dynamizuje bezwład”.

Niedawno pisaliśmy na tym miejscu o innym „wodzu”, p. Bolesławie Piaseckim. Co za zdumiewające pokrewieństwo duchowe i podobieństwo fizyczne! Te same ekstrawagancje zewnętrzno - dekoracyjne, to samo śmieszne zarozumialstwo, ten sam analfabetyzm polityczny.

A czemu podobne dziwłogi polityczne różnych p.p. Bolesławów i Włodzimierzów poczęły się mnożyć w Polsce, jak grzyby po deszczu? Bo przez lata całe wbiłano społeczeństwu do głowy, by trzymało się zdala od polityki, by przestało o sprawach społecznych myśleć i o nich decydować. Rezultat? Pewne części społeczeństwa istotnie przestały myśleć, odczuły się myśleć, a na ugorze bezmyślności poczęły wyrastać zielska w stylu synarchistyczno - falan-gowskim.

## Inż. A. Glizer

# Walka o imigrację

(KORESPONDENCJA WŁASNA „STERU” Z PALESTYNY).

Zbliża się okres nowego przydziału certyfikatów imigracyjnych. Najbliższy „schedule” będzie miał zupełnie specjalne znaczenie. Jak wiadomo, swego czasu oznajmił rząd (w chwili przyjęcia sprawozdania Komisji Królewskiej), że ogranicza liczbę imigrantów na okres najbliższych 8 miesięcy do 1.000 osób miesięcznie. W ten sposób zerwano z obowiązującą od lat zasadą regulowania imigracji według pojemności gospodarczej kraju i wprowadzono t. zw. maksimum polityczne.

Liga Narodów nie zaakceptowała tej nowej zasady. Stara zasada została bowiem nie tylko zadeklarowana przez rząd angielski zanim Liga udzieliła mu mandatu, lecz także urzędowo przyjęta przez Radę Ligi w specjalnej rezolucji. Toteż Komisja Mandatowa wyraźnie podkreśliła, że Anglia nie ma prawa zmieniać podstawy regulowania imigracji bez zgody Rady. O ile jednocześnie odstępstwo może być zrozumiałe, jako krok wyjątkowy, podyktowany specjalnymi warunkami chwili, o tyle ustabilizowanie nowej metody wymaga wyraźnej uchwały Rady, przekreślającej poprzednią decyzję. W tym samym duchu utrzymany jest też ustęp, dotyczący imigracji, w znanej rezolucji samejże Rady Ligi Narodów, zawierającej upoważnienie do dalszych badań w sprawie podziału Palestyny. Stanowisko to zaakceptowali zresztą także przedstawiciele wielkiej Brytanii, w szczególności min. Eden.

Jak wiadomo, projekt ustawy, stwarzającej podstawę prawną do stosowania wspomnianego ograniczenia imigracji do 1000 osób miesięcznie, nie zawierał pierwotnie żadnych zastrzeżeń co do jego tymczasowości. Dopiero na energiczne żądanie Żydów, oparte zresztą na oświadczeniu Edena i uchwale Rady Ligi, wprowadzono do ostatecznego tekstu ustawy terminu, do którego obowiązywać będzie to ograniczenie polityczne. Z dniem 15 marca 1938 r. powinno „maksimum polityczne” zniknąć i oczyszczyć pole dla wypróbowanej „pojemności gospodarczej”. Powinno, ale czy zniknie, oto pytanie.

W ustawie pozostawiono mianowicie furtkę. Napisano, że odnośny przepis obowiązuje do 15.3.38, ale zarazem, że termin ten może być przedłużony. O to

aby nie został przedłużony, toczy się wojna, której rezultat jest dotąd nierozstrzygnięty. Ostatni dokument, Biała Księga o „Komisji Technicznej”, nie zawiera żadnych aluzji w tym względzie. Pomija po prostu całą tę sprawę milczeniem. Z różnych mało sjonizmowi przyjaznych kół zaś (w rodzaju londyńskiego „Great Britain and the East”, który zresztą wbrew w prasie żydowskiej rozpowszechnionej opinii — nie wiadomo czemu — nie jest ani urzędowym ani nieurzędowym organem ministerstwa kolonii, lecz prywatnym piśmie grupy emerytowanych urzędników kolonialnych), z różnych tego rodzaju kół rozlegają się głosy, że nie wolno „komplikować sytuacji powrotem do nierozsądnej zasady pojemności gospodarczej zamiast jedynie właściwej politycznej”.

Przeciwko tym tendencjom musi być prowadzona wojna. Nie chodzi w tej chwili tylko o liczbę imigrantów, o czym niżej. Chodzi przede wszystkim o obronę mandatu: nie litery, lecz ducha jego. Komisja Królewska w swych „paliatywach” pokazała, jak można zachować formę mandatu i pozbawić go wszelkiej treści. Zarówno ci, którzy chcą natychmiastowego utworzenia państwa żydowskiego w części Palestyny, jak i ci, którzy sprzeciwiają się podziałowi, zarówno ci, którzy wierzą w rychły podział, jak i ci, którzy weni nie wierzą — jedno rozumieją, a przynajmniej powinni rozumieć wszyscy: że w każdym razie musimy utrzymać naszą dotychczasową bazę jak najsilniej, dopóki nie zastąpimy jej z własnej woli nową, dogodniejszą (podobnie zresztą, jak nie możemy dopuścić do obalenia nowej propozycji, dopóki nie wiemy, że na jej miejsce dostaniemy coś lepszego). Dotychczasową naszą bazą są prawa, któreśmy uzyskali z mocy deklaracji Balfoura i mandatu, a wśród tych praw najważniejszym z punktu widzenia kształtowania przyszłości jest prawo imigracji. Na straży jego musimy stać w pełnym rynsztunku.

Walka o powrót do imigracji według pojemności gospodarczej musi być stoczona, choćby nawet powrót ten miał pociągnąć za sobą chwilowe ściśnienie imigracji nawet poniżej poziomu

„maksimum politycznego”. Sytuacja gospodarcza jest ciężka. Istnieje bezrobocie w kraju, nie robimy z tego tajemnicy. Wprost przeciwnie, domagamy się od rządu pomocy w zwalczaniu tego bezrobocia, do którego powstania sam się zresztą tak wydatnie przyczynił. Walka z bezrobociem, a równocześnie walka o nową imigrację, to zakrawa na paradoks. Jest to jednak paradoks tylko o tyle i w takiej mierze, w jakiej cały rozwój Palestyny jest paradoksalny i niepodobny do innych.

Komisja Królewska stwierdziła już wyraźnie, że rację mieli Żydzi, dowodząc zawsze, że imigracja żydowska nie czerpie z już istniejących w kraju zasobów, lecz wytwarza wciąż nowe. Imigracja żydowska nie pociąga za sobą rozproszkowania bogactwa kraju, lecz je pomnaża. Imigracja żydowska nie wyczerpuje, jednym słowem, pojemności gospodarczej kraju, lecz ją stwarza.

To jedna strona zagadnienia, a druga to ta, że imigracja żydowska jest nie tyle funkcją sytuacji gospodarczej Palestyny, ile ta sytuacja właśnie funkcją imigracji. Doświadczenie poucza, że imigracja zrodziła prosperity, a nie odwrotnie. Minister kolonii oświadczył wprawdzie niedawno w parlamencie, że kwestionuje odpowiednie twierdzenie Komisji Peel'a. Ale fakty pozostają faktami, perspektywy walki stają się tylko przez takie oświadczenie trudniejsze.

W obliczu przewlekłego charakteru obecnego okresu przejściowego jest powrót do normalnego régime'u w dziedzinie imigracji podstawowym nakazem samoobrony politycznej, choćby nawet rząd chciał wykorzystać kryterium gospodarcze właśnie dla jeszcze dalej idącego pomniejszenia imigracji. A zarazem pierwszym nakazem samoobrony gospodarczej jest walka o taką imigrację, która nie wystarczałaby tylko do kontynuowania obecnej depresji, lecz była w stanie nadać nowy rozmach kołom maszyny gospodarczej, które niepowność polityczna, brak bezpieczeństwa i zwężony dopływ nowych sił z zagranicy zahamowały.

Tel-Aviv, 30.I.38.

## KRONIKA

### ZA GRANICĄ.

— Jubileuszowa — setna — sesja Rady Ligi Narodów odbyła się pod znakiem konfliktu japońsko — chińskiego, antyżydowskich poczynań rządu rumuńskiego i sprawy palestyńskiej. Chinom nie udało się wyjednać akcji mocarstw przeciw napastnikowi — Japonii. W sprawie rumuńskiej nie doszło do kompromisu, proponowanego przez Mięscu, ze względu na nieustępliwie stanowisko Gogi. W sprawie palestyńskiej odbyła się rozmowa ministrów Edena i Becka.

— Prezydent Roosevelt wydał orędzie, zapowiadające wzrost zbrojeń U. S. A.

— Pod Teruelem wojska republikańskie odniosły dalsze sukcesy.

— Lloyd George obchodził złote wesele.

— Prezydent Irlandii, de Valera, przybył do Londynu w celu rokowań z Anglią.

— Księżna Juliana Holenderska powiła córkę.

### W KRAJU.

— Nowy szef O. Z. N., gen. Skwarczyński, wydał oświadczenie, w którym solidaryzuje się ze stanowiskiem posłów ozonowych w sprawie gen. Żeligowskiego.

— W komisji budżetowej Senatu, w ramach dyskusji o budżecie M. S. Z., mówiono głównie o emigracji Żydów z Polski.

— W komisji budżetowej Sejmu Minister Handlu i Przemysłu, p. Roman, chwalił rezolucję Kongresu Kupiectwa Chrześcijańskiego i wypowiedział się pozytywnie o t. zw. kupcach oswsemowych. Poseł Bakon

zgodził rezolucję w sprawie przyspieszenia „unarodowienia handlu” przez ulgi podatkowe i kredyty dla kupiectwa chrześcijańskiego.

— Bratnia Pomoc Politechniki Warszawskiej uchwaliła paragraf aryjski od trzeciego pokolenia.

— Kończy się śledztwo upiornego Warszawy, Wład. Skwierawskiego, który w lesie młociniskim zamordował szofera Szlendaka.

### W ŻYCIU ŻYDOWSKIM.

— Londyńskie czasopismo „Population” oblicza, że od r. 1933 do 1937 wyemigrowało z Niemiec 135.000 Żydów, t. j. 1/3 ogółu ludności żydowskiej w tym kraju.

— W Palestynie przygotowuje się konferencję Żydów, pochodzących z Rumunii.

— Do Ligi Narodów wpłynęły petycje światowego Kongresu Żydowskiego, Alliance Israelite Universelle Joint Foreing Committee oraz chrześcijańskiego Komitetu Obrony Praw Żydów w Europie Środkowej i Wschodniej w sprawie akcji antyżydowskiej rządu rumuńskiego.

— Minister Beck przyjął w Genewie d-ra N. Goldmanna i odbył z nim rozmowę w sprawie palestyńskiej.

— Natan Bystrycki opuścił Polskę po kilkumiesięcznej akcji dla K. K. L.

— Rząd niemiecki zawiesił na 4 tygodnie „Jüdische Rundschau”.

— W Pradze zebrała się światowa konferencja rewizjonistyczna.

— Terrorysty arabscy ostrzelali pałac Wysokiego Komisarza Palestyny,



## Okno na świat

## Spieszno panom, spieszno!

## MATKA — NADZIEJA.

Wszystko wydawało się być piękne na tym najpiękniejszym ze światów: stotalizowana opinia publiczna za zachodnią granicą wszechła jubel, gdy okazało się, że świat został stworzony tylko po to, by kroczyć w myśl nadziei oraz inspiracji Propaganda-Amtu Trzeciej Rzeszy.

We Francji Chautemps rozwałił front ludowy: ten potworny sojusz co prawda jeszcze zipie, jeszcze usiłuje poruszyć się, ale to są już tylko cienie minionych sław, minionych dni. Delbos pragnie zerwać dotychczasowe sojusze w imię nowego sojuszu z Niemcami. Nie dziw-

radykałów zrozumiało, że rozbić Zjednoczenia Ludowego w tej chwili oznaczałoby rozłam w partii. Nawet pan Flandin oświadczył, że sytuacja w kraju nie dojrzała jeszcze do tego, by rozbić to zjednoczenie...

Rada naczelna partii socjalistycznej ujawniła bardziej ostre nastroje opozycyjne, aniżeli umiarkowane skrzydło, reprezentowane przez Bluma — Faure'a. W rezultacie układu sił na radzie naczelnej, Faure po raz pierwszy znalazł się w mniejszości. To głosowanie było niejako sygnałem ostrzegawczym.

Dymisja gabinetu Chautempsa oraz odejście ministra Dormoya zostało dokonane pod naciskiem tych grup finansowych, które groziły, że jeśli się będzie nadal ujawniać nazwiska przemysłowców, którzy brali udział w prowokacji kapturowców, wtedy grożą upadkiem franka. Dobrze poinformowany dziennikarz, Aleksander Werth donosi („The New Statesman and Nation” — Styczeń, 22):

„Pan Dormoy odkrywał codziennie coraz więcej broni, i tak samo, jak jasnym było, że pewne elementy wielkiego przemysłu brały w tym udział, było również rzeczą pewną, że swoje palce maczały w tym zarówno Niemcy, jak Włochy, jako też Francja. Większość broni znalezionej pochodziła z tych trzech krajów. To nie francuscy faszystyci byli zainteresowani, by zamordować Rosselli. Natomiast faszystyci włos-

cy mieli szereg poważnych powodów dla uczynienia tego. Kapturowcy byli upoważnieni do dokonania tego: międzynarodówka faszystowska działa sprawnie. Wybuch na ulicy Presbourg był świetnym przykładem jak pracowali kapturowcy. W chwili kryzysu międzynarodowego należało stworzyć coś w rodzaju paniki w Paryżu...“

Emigracyjne pismo niemieckie „Schaubühne“ tak opisuje ostatnie posiedzenie gabinetu francuskiego:

„Podczas jednego z ostatnich posiedzeń gabinetu, ponoć minister spraw wewnętrznych Dormoy oświadczył: „Jestem zmuszony tych przemysłowców, którzy brali udział w spisku, aresztować“. Na to miał odpowiedzieć minister skarbu Bonnet: „Finansjera odpowie na pański krok natychmiastowym spadkiem franka. A jeżeli pan nalega, by ich aresztować, w takim razie ja poddam się do dymisji“. Na to odrzekł Dormoy: „A jeśli pan chce sobą obronić oskarżonych — wtedy ja ustępuję“. Dyskusja w Izbie była epilogiem tej rozmowy.“

Jak widzimy więc na podstawie tej zgodnej opinii, istotna przyczyna dymisji rządu koalicji tkwiła zupełnie gdzie indziej, aniżeli przypuszczają ci, co pragną w upadku tego rządu widzieć rozłam Frontu Ludowego. Minister Bonnet otrzymał w swym własnym stonniecie na 118 głosów tylko 32! To

bardzo, nawet bardzo nie wiele. A radykałowie, jak każdy polityk demokratyczny Francji, mają wyczucie nastrojów w masach, wiedzą o tym, że C. G. T. jest obecnie siłą nielada, znacznie większą ilościowo, a gatunkowo zupełnie różną, aniżeli leipartowskie związki zawodowe w Niemczech. Radykałowie wiedzą, że na prawicy nie ma dynamicznej siły, która mogła by porwać za sobą masy.

Któż bo jest na prawicy, oprócz polityków miary Louis Marina, lub Reynauda? De la Roque — zdemaskowany, jako zwykły urzędnik wydziału społeczno-politycznego ministerstwa spraw wewnętrznych. Doriot — związany z Tardieu oraz Lavalem, tracący resztki sympatii, które posiada. Więc któż? Zdemaskowany w aferze kapturowców Pozzo de Borgo? Związany z nim Tardieu, kolkietujący pewien czas monarchistów? Śmieszny już w swym zaciebrzeniu Leon Daudet, czy Karol Maurras, polujący na katolicką opinię, dla której jest znacznie bardziej miarodajny Watykan, który odgrodził się od francuskich camelots de roi?

Po za większością rządzącą obecnie Francją nie ma i nie może być w chwili obecnej innej większości. Wie o tym dobrze 86 radykałów, którzy swych głosów nie oddała na rzecz pana Bonnet, pour le bon ez de monsieur Bonnet, jak powiadają w Paryżu.

Toteż szczęścia tych, co śnili o zła-

maniu obecnej lewicowej koalicji we Francji było tylko tyle, co prześnili. I nic więcej.

## STAWKA NA DELBOSA:

Przyznaje to zresztą jeden z tych, co grzebali już obecna koalicję francuską, pan Korab-Kucharski, telefonując z Genewy o setnej sesji Rady Ligi Narodów. P. K. K. donosi (podkreślenia nasze — Gazeta Polska z dnia 28.1.38).

„Pan Delbos — przewencyjnie zaprotestował wyraźnie przeciw podobnej blokowej, czy osiowej tendencji, nadającej Lidze charakter bojowej, partyjnej organizacji. Dokonał tego gestu z dużym uwzględnieniem obecnej fran-

## BUDYNIE-GALARETKI

**Liliput**

PROSZEK DO PIECZENIA

nego, że w takiej sytuacji setna sesja Ligi Narodów, po otrzymaniu ciosów od niezawodnych sprzymierzeńców, których liczne już grono zostało powiększone o cenną osobę pana ministra z gabinetu Gogi, Micescu — nareszcie wykończył te instytucje, przekreślił preklejty paragraf 16, a wtedy... Wtedy droga wolna! Sudety i Austria, a po tym, po tym dalej dokąd tylko zwycięski oręż doprowadzi zwycięskie wojska.

Bo też wszystko układa się jak najlepiej: izolacja Czechosłowacji, przeznaczona jak wiadomo na pożarcie, postępuje naprzód. Jugosławia, Grecja, Bułgaria i Rumunia zostały prawie zupełnie pozyskane, i nazjonal-socjalistyczne Dyplomaten mają te państwa do słowni w kieszeni: w ciągu ostatnich czterech lat wywóz Niemiec do państw bałkańskich wzrósł o przeszło 100%, zaś do Grecji nawet o 264,4%. Moralnie została Czechosłowacja, jak wiadomo wykończona przez pana senatora Feliksa Gwidzda i pana senatora Zarzyckiego. Mein Liebchen, was willst-du mehr?

Delbos, atakowany za umiar w stosunku do Niemiec pozostał. Natomiast odszedł zniemawidzony przez reakcję minister spraw wewnętrznych Dormoy, który zajął się wykryciem niebezpiecznych koligacji. Dormoy ujawnił spisek kagulardów, ujawnił, kto zamordował i braci Rosselli, i Nawaszina, i panią Garola, i najprawdopodobniej generała Millera. Okazało się, że wszystko to było dziełem prowokatorskiej organizacji CSAR, finansowanej przez wielki kapitał francuski, do spółki z niejakim panem Georges'em de Pottere, współpracownikiem pułkownika Fleischhauera z Erfurt, który to pan Pottere przyjął obywatelstwo francuskie w roku 1934! Otóż ujawnienie prawdziwych sprawców zamachów bombowych oraz ich zagranicznego ośrodka dyspozycyjnego nie było, rzecz jasna, na rękę panom, z którymi pan Flandin i de Brignon rozmawiali tak czule w Berlinie. Dobrze więc, że pan Dormoy odszedł.

We Francji rozpoczął się prąd za zbliznieniem do Niemiec, a nawet „Temps“ zaatakował dotychczasową politykę. Małuczko, małuczko odejda ludzie frontu ludowego, na ich miejsce przyjdzie gabinet złożony z panów Pozzo de Borgo, a nawet, kto wie — pana Georges'a de Pottere — rząd, który nic innego nie zrobi, jak tylko zawrze bilateralny sojusz z Niemcami, i wtedy, wtedy

Am Rhein, am Rhein  
Mein Vaterland magst ruhig sein!

## TYLE SZCZĘŚCIA, CO SIĘ PRZEŚNI.

Ale, jak wiadomo, tyle prawdy co jest w pieśni, tyle szczęścia — co się prześni. Rozwalony i zdruzgotany przez pana Chautempsa rząd frontu ludowego zmartwychwstał, i jakoś nie spieszo mu do rozwalenia się. Pan Bonnet, rzecznik tych grup finansjerskich francuskiej, która pragnęła oderwać stronnictwo radykałów od sojuszu z lewicą, otrzymał w swym własnym stronnictwie tylko jedną trzecią część głosów, podczas gdy jedna trzecia była za dotychczasowym stanem rzeczy, zaś jedna trzecia powstrzymała się. W tych warunkach kierownictwo stronnictwa

## Wiktor Klemens

## AMBASADOR DODD

Wiliam Edward Dodd, ambasador St. Zjednoczonych w Berlinie odcigał się z odwiedzeniem we wrześniu rady partyjnej w Norymburze. Od tego czasu domyśleć się można było, że opuści swe stanowisko. Dymisja nastąpiła oficjalnie, następcą Dodd'a, Hugh Wilson, jeszcze nie przejął urzędu — a już ambasador niemiecki w Waszyngtonie, doktor Dieckhoff zabezpieczył się „przeciwko pewnym oświadczeniom w przemówieniu poprzedniego ambasadora amerykańskiego“. Pan Hull, do zadań którego należy przyjmowanie takich protestów Rzeszy Niemieckiej w regularnych prawie odstępach czasu, znowu kiedyś oświadczył, że „dzięki konstytucji Stanów Zjednoczonych każdy obywatel państwa korzysta z prawa swobodnego wypowiedziania przekonań, że Dodd nie jest już reprezentantem dyplomatycznym swego kraju, lecz prywatnym człowiekiem; i że jego oświadczenie jako człowieka prywatnego nie decydują o przekonaniach rządu Stanów Zjednoczonych“. Czy teraz sprawa jest zatwoniona? Czy to tylko miał miejsce jeden ze zwykłych dyplomatycznych revirements, które nie znajdują żadnego oddźwięku w opinii publicznej?

Revirement, którego ofiarą padł Dodd, zasługuje na szczególne zainteresowanie, bo jasno oświetla stan dzisiejszej dyplomacji. Kiedy Roosevelt przed czterema laty zdecydował się wysłać go do Berlina, Dodd był outsiderem w polityce zewnętrznej. Zajmował się na uniwersytecie w Lipsku niemiecką filozofią idealistyczną i interesował się zasadami wykształcenia humanistycznego, potem wykładał na uniwersytecie w Chicago historię swojej ojczyzny. Demokratyczny pęd do prawdy pchnął go na drogę polityki. O ile w latach wcześniejszych wydał szereg dzieł historycznych — „Ekspansja i konflikt“, „Woodrow Wilson i jego dzieło“, „Mężowię stanu starego Południa“ — o tyle później zdobył sobie zaufanie Roosevelta jako członek liberalnego skrzydła Jeffersona w partii demokratycznej.

Dodd przybył do Berlina w 1933 roku jako znawca Niemiec, uzbrojony w ów krytyczny obiektywizm, który wówczas Stany Zjednoczone zachowywały. Dodd był najbardziej powściągliwy ze wszystkich ambasadorów, którzy do tego czasu reprezentowali w trzeciej Rzeszy interesy swoich krajów. Nigdy nie opuszczał swej neutralnej pozycji obserwatora, a przeciwko codziennym wrażliwym uzbrajał się w prawość najwyższego stopnia. Władcom Niemiec okazywał wszystko to, co zawiera ceremoniał dworskiej uprzejmości, ale nie poza tym; nie zapewniał kredytu moralnego i nie rozdawał zadatkowych laurów. Kto zna berlińskie życie dyplomatyczne w ostatnich latach i wie, jak często w opinii publicznej wymieniane są nazwiska François — Poncet'a i Hendersona i jak ci ambasadorowie coraz zyczliwiej i z coraz większą sympatią odnosili się do nowych władców ja nie opuszczali żadnej okazji do wspólnej reprezen-

tacji — może ocenić jak konsekwentnie Dodd unikał wszystkiego, co mogło stworzyć pozory aprobacji dla rządu Rzeszy lub intymnych z nim stosunków. Zachowanie takie wydawało się dziwne, nawet donkiszotowskie. W rzeczywistości jednak odpowiada ono zdrowemu poczuciu, niezgodnemu wprawdzie z kruczkami honorowego kodeksu dyplomatycznego, poczuciu, że należy unikać przyjaźniach stosunków, kiedy się naprawdę nie jest przyjaźni nastawionym. Największe zgorzenie w czasie pobytu Dodd'a w Niemczech wywoływało to, że nie można go było użyć dla celów propagandy. Dodd nigdy nie urządził demonstracji, nigdy nie deklamował o pokoju albo o dobrym ustosunkowaniu się państw do Rzeszy, nigdy nie powiedział nic takiego „co narodo-socjalistyczna prasa mogłaby zamienić na hymn pochwalny. Sytuacja takiego dyplomaty musi być bardzo trudna w kraju, gdzie każde oficjalne spotkanie dyplomacji, czy to przyjęcie noworoczne, czy inne przyjęcie, czy wreszcie otwarcie jakiejś wystawy — musi być wyzyskane w celu zademonstrowania poważania w świecie, jakim się cieszy Rzesza i jak najlepszych jej stosunków z obcymi państwami.

Zgorzenie, jakie wywołało postępowanie Dodd'a, miało też stronę odwrotną, najbardziej dla regime'u przykra. Dodd utrzymywał wprawdzie dystans między sobą a kołami oficjalnymi, ale nie był przecie izolowany. Był to jedyny w owym czasie poseł który rzeczywiście związany był wieloma niemi z narodem niemieckim albo przynajmniej z jego najbardziej wartościowymi mieszczańskimi sferami. „Wielce mnie interesowało nastawienie i wynurzenie ludzi w Niemczech“, Koła, w których obracał się profesor, rekrutowali się z najbardziej wykształconych i światłych ludzi w obecnych Niemczech: z uczonych, pisarzy, artystów, duchownych i pewnej kategorii wysokich urzędników fachowców, którzy nie tylko poddają się głuchemu niezadowolaniu, ale uprawiają rzeczową krytykę, zachowując swobodę sądów. Dodd spotykał się wciąż z tymi wszystkimi, o których cierpieniach Bóg tylko i oni sami coś powiedzieć mogliby. W ten sposób zebrał jedyny w swoim rodzaju materiał o upadku widzy niemieckiej, o ograniczaniu wszelkich naturalnych swobód ludzkich, o szalonym ryzyku w gospodarce, o korupcji administracji i straszliwym wypaczeniu prawa. Ambasadora nie mogły omamić informacje szefa prasy na Wilhelm-platz — mógł być obiektywny, a ponieważ posiadał sumienie i głębokie poczucie odpowiedzialności, musiał być obiektywny. Jego sprawozdania, o których w ostatnim swym, poźniejszym oświadczeniu powiada z głębokim, bolesnym przekonaniem, że „zawsze były obiektywne“, stanowią ciekawe dopełnienie, jakie dyplomata zagraniczny sine ira et studio dodac może pełnej grozy historii Trzeciej Rzeszy.

„Co począć może przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w kraju, gdzie wolność wyznania jest gnębiona, gdzie uprawia się nienawidź rasową i nie podlegające kontroli badania naukowe?“ Oto facit: Ambasador rządu, który poważnie traktuje wolność ludzką, nie może nie a nie począć w dzisiejszych Niemczech... Teza ta nie jest tylko uczuciem Dodd'a samego, ale stanowi największą część, jaką poseł może okazać swej ojczyźnie, jest document hmain i jedną z nielicznych prawd, jakie wypowiedziane zostały w naszym życiu politycznym.

Wydaje się, że milczenie Dodd'a wobec opinii publicznej w ciągu czteroletniego urzędowania leżało w interesie prawdy i sprawiedliwości; niemal że odnosi się wrażenie, iż teraz wrócił do życia prywatnego, by odzyskać wolność słowa. „Wiele znakomitych osobistości niemieckich“ — powiada Dodd — „zaaprobowało moją decyzję odnośnie wstrzymania się od udziału w szesiorocznym kongresie partii narodo-socjalistycznej“.

Lecz nie tylko niewzięcie udziału w kongresie spowodowało odejście Dodd'a, ale również i to, że opozycja niemiecka z ufnością się przed nim wynurzała, że się go radziła. Powstaje pytanie: co nowego mogłyby opowiedzieć światu o Trzeciej Rzeszy ten mąż zawsze surowy, powściągliwy, ostrożny i poważny; na czyje świadectwo mogłyby się powołać? I odczuwa się potrzebę poproszenia go, by wyzyskał w całej pełni wolność słowa, którą zapewnia mu konstytucja amerykańska, i opowiedział, co wie o uczonych, o duchownych i o robotnikach, opowiedział z umiarkowaniem i bez przesady, ale z pełnym poczuciem rzeczywistości. Opublikowaniem swoich pamiętników — nie o pięćdziesiąt lat za późno, jak to jest w zwyczaju dyplomatów — Dodd mogłyby się przyczynić do tego, by zapobiec złu, o którym sam powiada: „Wielcy przemysłowcy niemieccy i przedsiębiorstwa przemysłowe nie mają w ogóle zrozumienia dla konieczności współpracy międzynarodowej. Logicznym następstwem intensywnych przygotowań do wojny musi być nowa wojna“.

O wielu rzeczach Dodd w swych wypowiedziach napomyka tylko: „Zdecydowałem się udać się do Berlina pomimo, że nie jestem milionerem i nie mogę wydawać rocznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jak to przeważnie zwykli byli czynić ambasadorowie amerykańscy. Dowiadujemy się o człowieku, który wie, w czyich rękach leżą losy ludzkości; o milionerach, dla których polityka jest luksusem, wypłacającym się per saldo; myślimy ze zgrozą o trzystu dyplomatów, o których mówił Rathenau, a którzy poprzedniego razu decydowali o wojnie i pokoju, układając mozaikę z drobnych postępow, która rozbiła się o wielkie głupstwa. Pytamy wraz z Doddem: czy znów ma być to samo? Jeśli nie, to może on w imię prawdy przemówić!“

cuskiej sytuacji wewnętrznej. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że socjaliści nie należą do obecnego rządu francuskiego i że należy w każdej zagranicznej koniunkturze schlebiać ich abstrakcyjnym doktrynom“.

K. K. zaznacza dalej, że stanowisko większości socjalistycznej, rzekomo sprzyjające polityce zagranicznej Jugosławii i Polski zostało zaszczerwane przez rosnące wpływy lewicy socjalistycznej. Jakże więc schlebiał Delbos tym nastrojom. Otóż, jak donosi PAT, minister Delbos:

„rozwinął tezę o niepodzielności pokoju, wskazując na niebezpieczne wpływy domowej wojny hiszpańskiej, na sytuację w Europie, a nawet na sytuację na Dalekim Wschodzie. Delbos oświadczył, że nie nie można zarzucić zasadom paktu Ligi, głoszącym zbrodniczą absurdalność wojny, swobodną współpracę międzynarodową, obowiązek szanowania traktatów i pokojowe regulowanie konfliktów. Jeśli zasady te nie są przestrzegane, wówczas stosunki między państwami opierają się tylko na grze sił“.

Jak na schlebianie „abstrakcyjnym doktrynom socjalistów“ powiedział minister Delbos wiele, nawet za wiele. Bo jak wiadomo koncepcja niepodzielności pokoju nie da się pogodzić z koncepcją bilateralnych umów i nieodpowiedzialności za pokój.

Ci, co czekali na krach Ligi Narodów nie doczekali się go: przemówienie ministra Edena nie różniło się wiele od przemówienia jego francuskiego kolegi i ogólna tendencja, jaka przeważała na sesji zmierzała do utrzymania obecnego stanu rzeczy. Nie wiadomo jeszcze, jak stosunki przekształcą się w najbliższej przyszłości. Pan minister Micescu zmuszony był uzgodnić swe stanowisko z Londynem i Paryżem.

Minister Beck miał zapewnić, że deklaracja polska nie będzie kolidowała z deklaracją francuską i angielską. Jak donosił Burgues w „Petit Parisien“ (cyt. za Kurierem Warszawskim z dnia 28 stycznia b. r.), p. Eden w związku z tym przeprowadził bezcerkłą rozmowę z ministrem Beckem i uzyskał od niego zapewnienie, iż deklaracja polska nie będzie kolidowała z angielską i francuską. Burgues dodaje, że rozmowa ministra Idena z min. Beckiem była szczególnie długa i chwilami burzliwa, oraz że minister Beck przeciwstawił się pomysłowi wspólnej rezolucji wszystkich członków Rady na temat wierności dla Ligi.

Setna sesja Ligi Narodów zawiodła nadzieje tych, którzy przy puszczały, że nastąpi teraz krach. Spieszno było niektórym panom do pogrzebania 16 punktów traktatu Ligi, punktu, który jak dotychczas nie przyczynił się do zahamowania najazdu na Hiszpanię, ani nie przyczynił się do zahamowania najazdu na Chiny. Ale ta martwa litera traktatu może nabrać sensu w chwili, gdy zechce się urzeczywistnić marzenia zbrojne w Europie Środkowej.

Wtedy martwe litery mogą się zamienić w armię pomocniczą bagnatów samolotów i tanków. A to byłoby bardzo przykre dla panów, którym tak spieszno do krachu Ligi Narodów.

OUTSIDER



Hans Lichtwitz

# Bilans rewizjonizmu

Organizacja Syjonistów - Rewizjonistów, która przed przeszło dwoma laty na konferencji swej we Wiedniu zmieniła nazwę na „Nowa Organizacja Syjonistyczna”, po raz wtóry zmienia teraz swój sztyl i obradować ma w Pradze jako „Pierwszy Żydowski Kongwent Narodowy”. Działalność tego zjednoczenia jest jednakże mniej świetna niż nazwa. Po opuszczeniu Organizacji Syjonistycznej, w której grała wygodną rolę wiecznie niezadowolonej opozycji, rewizjoniści musieli się męźnie postawić i pokazać, jak należy wszystko czynić lepiej i właściwiej. Przeszło dwa lata upłynęły od owej konferencji we Wiedniu. Wyniki działalności rewizjonistycznej, która w tym okresie mogła być prowadzona zupełnie swobodnie i bez więzów, nakładanych poprzednio przez organizację syjonistyczną, przedstawiają się dość mizernie. Ale oddajmy głos rewizjonistom! Poniżej przytaczamy jako dowód naszego sądu głosy z ostatniego numeru pisma rewizjonistycznego, „Medina Iwrit” (Nr 3 z 21 stycznia 1938), które stanowią surową autokrytykę.

## Organizacja

Na długo przed tym, jak Zabyotyński dał hasło do opuszczenia Organizacji Syjonistycznej, rewizjoniści zaczęli przygotowania do swojej przyszłej samodzielnej działalności: własne instytucje polityczne, własne organizacje młodzieżowe, kobiece i sportowe, własne fundusze i t. p. we Wiedniu nazywało się wtedy, że ten aparat organizacyjny już prześcignął organizację „starego” ruchu syjonistycznego. Należało więc spodziewać się po nim wielkich czynów. Tymczasem ukazały się dość szczególne wyznania:

„Nie jest żadną tajemnicą, że wewnątrz Nessiut (egzekutywa organizacji rewizjonistycznej. Przep. aut.) od czasu Kongresu Wiedeńskiego istnieją ludzie, którzy stworzenie Nowej Organizacji Syjonistycznej uważali za „bluff”, za niedość groźby przeciw Jewish Agency — „Kochany Weizmannie, jeżeli nam nie dasz certyfikatu, to będziemy się bardzo gniewali! To spowodujemy ci wiele niedogodności!” Nie jest żadną tajemnicą, że ludzie ci nie chcieli, aby Nowa Organizacja Syjonistyczna przyjęła takie formy organizacyjne, któreby uniemożliwiły „powrót” do starej Organizacji Syjonistycznej.

Nowe organizacje Zabyotyńskiego miały się szczególnie odróżnić od syjonistycznej swoją dyscypliną i aktywnością. I spójrzmy:

„Dotychczasowe niejasności ogromnie zaszkodziły organizacji w pierwszych dwóch latach, paraliżując jej działalność praktyczną. Od organizacji o galaretowatej konsystencji nie można żądać ani dyscypliny, ani odpowiedzialności i obowiązkowości w pracy”.

W szczególności drastycznej formie jest mowa o bałaganie „o zerowych wynikach dotychczasowej działalności i o ludziach, którzy w przeciwstawieniu do innych syjonistów uchodzą chęć za przedstawicieli „nowej rasy”:

„Jak długo wszyscy nasi ludzie, również powołani do tego, będą widzieli całe swoje zbawienie w tym, żeby uprawiać wielką politykę, paplać po kawiarniach, snuć intrygi i za szczyt aktywności uważać urządzenie balu purymowego, tak długo źle się z nami będzie działo”.

## Kierownictwo

Kierownictwo Zjednoczenia rewizjonistów jest skrytykowane w szczególnie ostry sposób. Wobec jednego w swoim rodzaju i górującego stanowiska, jakie zajmuje w swej organizacji Zabyotyński, już dawno można było zauważyć, jak daleko od niego znajduje się następna po nim warstwa kierownicza. Kto w ogóle zna jej nazwiska, kto wie coś o jej pracy? Wszędzie figuruje Zabyotyński, wszystko rozwija się i upada w zależności od chwilowej jego energii i usposobienia. Jeżeli udaje się w dłuższą podróż, która go odrywa od właściwych prac egzekutywy i brak przez kilka tygodni jego wytycznych w publicystyce, można to od razu wyczuć w całym ruchu rewizjonistycznym. Ze więc w tych warunkach ruch rewizjonistyczny nie tylko nie poczynił postępów od czasu Wiednia, lecz w wielu krajach jest daleko słabszy niż wtedy, gdy jeszcze należał do Organizacji Syjonistycznej, jest rzeczą oczywistą. Krytyka z powodu tego niezbyt pocie-

szającego stanu zwraca się przeciw ludziom z otoczenia Zabyotyńskiego:

„Czego robić nie należy w celu osiągnięcia wyników w organizacji, pokazała w ogólności dotychczasowa nesiut. Od teraz należy do niej delegować ludzi, którzy są gotowi (i zdolni) do pracy. Nie pora teraz tolerować mumi na tym najwyższym stanowisku”.

„...Musimy kontrolować ludzi, otaczających Zabyotyńskiego, i być zdecydowani na rozstanie z nimi, w wypadku, gdy zawiodą pokładane w nich nadzieje, choćby mieli jak najdłuższe brzmienie nazwiska”.

## Młodzież

Od początku swego istnienia Zjednoczenie rewizjonistów zwracało uwagę głównie na młodzież. „Starzy” wydawali się Zabyotyńskiemu zbyt wdrożeni w tory, którymi on iść nie chciał; patos swój zwrócił do nowej generacji. I w istocie Zabyotyński jest jednym z nielicznych przywódców syjonistycznych z pokolenia Herzla, który potrafił nawiązać ścisły kontakt z powojenną młodzieżą żydowską, który znalazł język, jakim do niej przemówić należy i skupił wokół siebie ruch młodzieżowy. Brith Trumpeldor, jego dzieło, o ile był prawdziwym ruchem młodzieży, szedł własnymi drogami, którym kierunek nadawała raczej psychika młodzieńca żydowskiego, niż taktyczne rozważania partyjne. Dażył do poważnej pracy w Palestynie, do alii i kolonizacji i nie mógł się ciągle zadawać rezolucjami i wielkimi przemowami. I nań przyszedł tedy kryzys, częściowo też wytworzyły się sprzeczności między nim a innymi odgałęzieniami Zjednoczenia Rewizjonistów. Teraz szuka się podłoża tego kryzysu i uważa się, że był nim nadmiar zażądań, jakimi Zabyotyński obarczał swą młodzież:

„Zarówno w Palestynie jak i w Europie Betar (Brith Trumpeldor. Dop. Aut.) przechodzi kryzys, który mnie napętnia głęboką troską i który również pozostaje w związku z tym wszystkim, o czym mowa była poprzednio. Żądanie dezorganizacji i reorganizacji odnosi się też do Betaru”.

„Jeśli Betar będzie za wiele żądał — nic z tego nie osiągnie. Jeżeli jednak chce stać się jedyną organizacją żydowskiego narodu państwowego, a tymczasem Nowej Organizacji Syjonistycznej, to w krótkim czasie może urosnąć w siłę i przewyciężyć obecny kryzys, który stąd tylko pochodzi, że nikt już nie wie, czego chce Betar”.

W rzeczywistości problem jest o wiele głębszy. Młodzież dobrze wyczuwa prawdziwy stosunek pomiędzy ideałami, hasłami — a rzeczywistością. Członkowie Brith Trumpeldor nie mogli więc nie dostrzegać przepaści pomiędzy proklamacjami a czynami rewizjonistów. Nie nadmiar, lecz brak czynu i aktywności wywołał kryzys w szeregach młodzieży rewizjonistycznej.

## Działalność samodzielną

Jakże jednak młodzież, która rwie się do Palestyny i chce brać udział w budowie Siedziby Narodowej, utrzymać na smyczy, gdy pogarda praktycznej pracy w Palestynie przyjmuje wprost groteskowe rozmiary?

„Odzývają się wśród nas głosy, by w Erec „także stworzyć coś, co można sfotografować”. Mówi się o budowaniu, osiedlaniu i t. d. Znaleźlibyśmy się dzięki temu na płaszczyźnie, oddalającej nas od źródeł rewizjonizmu. Widzimy, przecież, że czynny praktyczny nie tylko związany są z polityką, ale jej przekształcają”.

Ludzie, którzy myślą, że są szczególnie obdarzeni zdolnościami politycznymi, i z ostatnich wydarzeń niczego się nie nauczyli. Właśnie dwa ubiegłe lata więcej niż dobitnie wykazały, że każda nowowytbudowana pozycja w Palestynie stanowi plus dla siły politycznej w Jerozolimie, Londynie i Genewie, że w ogóle tylko połączenie pracy politycznej i praktycznej może dać pewne wyniki. Skoro jednak i dziś jeszcze wyraża się drugiego ważnego czynnika pracy syjonistycznej, skoro się systematycznie podkopuje wiarę we własne siły, to u wychowanej w ten sposób młodzieży gotowość do ofiar i samodzielnych wysiłków musi konsekwentnie zanikać i zaniknąć zupełnie.

„Między nami mówią, dla takiej reformy trzeba jeszcze pieniędzy. Pieniądzy, jeszcze raz pieniędzy. Toteż konieczną jest również reorganizacja Tel Haj, ...gdyż na symbole nie mamy już czasu”.

Wołanie o pieniądze, pieniądze i pieniądze — tam, gdzie dotychczas wszystkie materialne wysiłki ruchu syjonistycznego i jego funduszy stale wyśmiewano jako „żebrawinę” — nie może znaleźć podatnego gruntu u ludzi, których utwierdzano w mniemaniu, że naród żydowski materialnie już dosyć zrobił dla Palestyny. Z armią zdecydowanych antymilitarystów nie można wszak wygrać wojny. Autor owego artykułu, który z goryczą woła: „Boże, obroń mnie od moich przyjaciół!” i bez ogródek opisuje, jak mało dają zamożni rewizjoniści na swe własne fundusze, jak starają się na różne sposoby od tego wykręcić — sam doświadczył na sobie tej prawdy.

## Zakorzeniona uraza

Poprzez te wszystkie rozczarowania u większości rewizjonistów zakorzeniony jest nieprzewidywany resentyment do organizacji syjonistycznej. Nie może tego zmienić ani najbardziej gorzkie poznanie siebie, ani najsilniejszy argument. Niechęć do ruchu macyerzystego wciąż na nowo wybucha, a u wielu jest nawet jedynym motorem, który w stanie jest pobudzić ich do aktywności.

## J. Majus

# Ekonomika żydowska

Życie ekonomiczne jest zaprzeczeniem wszelkiej statyki. Ciągłe przemiany, ciągły rozwój gospodarczy, przeradzanie się jednych form w inne, czasami chwilowy zastój przechodzący znów w burzliwy poszum koniunktury i wreszcie groźny okres wyładowań się wszystkich dysproporcji gospodarczych — kryzys, cała ta dynamika ekonomiczna wpływa przemożnie na współczesne społeczeństwa, na zbiorowiska państw i narodów. Do truzimów należy już twierdzenie o decydującym wpływie zjawisk gospodarczych na politykę, przemiany społeczne i kulturalne. Weźmy np. choćby faszizm wyjęty w gospodarstwie kryzysie lat powojennych.

Nie też dziwnego, że naczelną troską każdego państwa i każdej społeczności stanowią dziś problemy gospodarcze. Będą one czynnikami rozwoju gospodarczego i jego wielobarwnej, funkcjonalnej i złożonej reakcji na inne dziedziny życia społecznego poświęca się wiele czasu i wysiłków. Kadry uczonych, ekonomistów i statystyków przy współdziałaniu praktyków życia ekonomicznego pracują w instytutach badań gospodarczych i socjologicznych, finansowanych przez państwo i fundusze społeczne. A co najważniejsze: badanie te mają nie tylko naukową wartość teoretyczną, lecz służą przede wszystkim żywotnym praktycznym celom: planowaniu w działalności gospodarczej.

Czasz liberalizmu i wolnej gry czynników gospodarczych minęły już — zdaje się — bezpowrotnie. Ogółem biorąc wyszły państwa współczesne z roli biernego obserwatora względnie nadzrędnego „kuratora” rozwijającego się życia ekonomicznego, przejmując we własną rękę znaczną część inicjatywy gospodarczej. Do ingerencji państwa jako samodzielnego czynnika gospodarczego przyczynił się właśnie ostatni kryzys światowy, który zmusił państwa — do szukania za wszelką cenę wyjścia z groźnej klęski nędzy i bezrobocia. Planowanie gospodarcze na dalszą metę miało być jedną z nowych dróg do rozwiązania problemu ekonomicznego. Pod tym kątem widzenia zaczęto oceniać i organizować pracę już istniejących placówek naukowo-badawczych i powoływać nawet w tym celu do życia specjalne instytuty.

Tak jest u wszystkich narodów posiadających normalnie funkcjonujące organizmy państwowe. A jak przedstawiają się badania nad ekonomicznym i społecznym rozwojem żydostwa współczesnego? Kto je prowadzi i w jakim zakresie? Rozproszone po całym świecie i przystosowane do organizmu gospodarczego otaczających narodów, reagują zbiorowiska żydowskie niezmiernie szybko i czule na wszelkie przemiany gospodarcze i społeczne w życiu tych narodów, wykazując przy tym specyficzną problematykę, wynikającą z podstawowych cech naszej anomalii narodowej: braku własnego terytorium i związanej z tym faktem niemożności przejścia do podstawowych gałęzi wielkiej produkcji i rolnictwa. Właśnie ta komplikacja przejawów żydowskiego życia ekonomicznego, jego światowy zasięg i wynikające stąd bogate zróżnicowanie stanowią niezmiernie wdzienne pole dla badań żydowskiego uczonego, żydowskiego ekonomisty i statystyka. Czy tylko dla badań naukowych? Ależ znajomość procesów ekonomicznych zachodzących w życiu mas żydowskich, jego perspektywy i możliwości jest nieodzowną przesłanką każdej planowej akcji samoobrony narodowej, każdego konstruktywnego planu samopomocy i odbudowy gospodarczej! Zwłaszcza w dzisiejszym

„Gdyby rzeczy niemożliwe stały się możliwe i okazałyby się, że Weismann w niektórych wypadkach ma rację — to jednak: psychologicznie należymy do innych światów, przepaść rozciąga się między nami (nie tylko odnośnie polityki syjonistycznej); wobec niemożności zjednoczenia się istnieje tylko jedno hasło podobnie jak wobec nieszczęścia podziatu Palestyny: Nigdy!”

I ten oto owoc długoletnich systematycznych wypraw Zabyotyńskiego jest rzeczywistością, z którą liczyć się trzeba.

## Zakon żebraczy

Jak zwykle przed obradami rewizjonistów Weisl czeka z całą kolekcją projektów i reform organizacyjnych. W fantazji jego przy tym powstają rojenia, nad którymi nawet w rewizjonistycznych kołach kiwają tylko głowami. Dwa lata temu proponował organizację z 600 rycerzami, 300 oficerami, 150 komturami, 75 oficerami sztabowymi i 300 wielkimi komturami, z żelaznymi, brązowymi, srebrnymi i złotymi odznaczeniami. Dziś żąda:

„Zakonu, złożonego z dwóch tysięcy mnichów, którzy jako mnisi-

żebracy bez zapłaty i podziękowania dopóty pozostaną do dyspozycji narodu żydowskiego, dopóki Państwo Żydowskie nie zostanie odbudowane po obu brzegach Jordanu, i którzy do tego czasu wstrzymają się od małżeństwa..., by nie skazywać żon i dzieci na samotność lub śmierć.”



Summa summarum sporządzony przez rewizjonistów bilans dwuletniej samodzielnej pracy jest zupełnie pasywny. I niczego też innego nie mógł się spodziewać żaden z tych, którzy śledzili uważnie drogę Zabyotyńskiego w ostatnich dziesięciu latach.

trajalizacji Żydów w Polsce omawianego w rozmaitych sprawozdaniach i notatkach. Obok procesu wyperania i eksterminacji Żydów z ich placówek ekonomicznych zauważają sprawozdawcy „Di Jidisze Ekonomik” odwrotne zjawisko wchodzenia Żydów do rzemiosła i przemysłu.

Popierając swe twierdzenie statystykami z kilku miast i miasteczek za okres ostatnich lat dochodzą jednak autorzy tych artykułów do uogólnień i przecenienia — naszym zdaniem — znaczenia tych zjawisk dla szerszych perspektyw mas żydowskich. Przede wszystkim wzrost zatrudnienia Żydów w omawianych punktach tyczy prawie wyłącznie drobnej przemysłu i chałupnictwa. Po dawnemu nie widać tu żadnej zasadniczej zmiany w niezdrowej strukturze żydowskich mas pracujących zatrudnionych w ostatnich i najmniej ważnych gałęziach produkcji. Klasycznym przykładem może tu służyć np. Łódź, gdzie wśród ogółu robotników przemysłowych Żydzi stanowią nie więcej niż 1/3 część, zaś wśród chałupników całe 72,2%. Potwierdza to zresztą stara zasada Borochowa, które stało się kamieniem węgielnym ideologii ruchu syjonistycznego, że gruntownej przebudowy nielaboralnej struktury ekonomiczno - społecznej mas żydowskich będzie można dokonać tylko na własnym terytorium narodowym.

Po drugie należy zauważyć, że proces wzrostu zatrudnienia żydów w drobnym przemysle, nawet w tych skromnych rozmiarach, jakie notują sprawozdawcy „Di Jidisze Ekonomik” nie jest wcale jednoznaczny. Obok kilku punktów (Radom, Siemiatycze, Zgierz) — gdzie wzrosła ilość utrzymujących się z przemysłu, mamy do zanotowania też punkty o poważnym spadku ilości zatrudnionych robotników żydowskich (Np. Kosów, — gdzie w przemyśle kilimkarskim spadła ilość rob. żyd. około 1000 w 1929—30 do 328 w b. r. Obok wzrostu procentu żyd. rob. przemysłowych w Łodzi, stosunek ten w Warszawie utrzymał się na stałym poziomie.

A po trzecie — i to jest moment najważniejszy — decydującą jest kwestia stosunku ilości Żydów, którzy zostali dodatkowo wciągnięci w proces produkcji do tej olbrzymiej i potężniejącej ilościowo armii wypartych z dotychczasowych warsztatów pracy ludzi, którym zniszczono egzystencję i tysiącnych zastępów młodzieży żydowskiej nie znajdujących żadnego zajęcia. Czy wyżej notowany wzrost zatrudnienia żydowskich robotników kompensuje też narastającą z każdym dniem armię pauprów? Wszyscy wiemy, że nie, nawet nie w małym zakresie. I tu dochodzimy do tego najboleśniejszego i tragicznego problemu zbiorowości żydowskiej w Polsce: co robić wobec ciągłego kruszenia się podstaw naszego bytu, wobec procesu, który nadgryza same korzenie naszego istnienia, który tysiące i dziesiątki tysięcy chętnych do każdego produktywnego zajęcia stawia poza nawias, zamienia w proch ludzki, w szarą masę nędzarzy pozabawionych jutra.

Zahamować ten proces, wstrzymać za wszelką cenę jego niszczące działanie! Obronić przynajmniej dotychczasowe pozycje! Obok kwestii troski o pełne syjonistyczne rozwiązanie kwestii mas żydowskich w drodze przyszłej gruntownej przebudowy ich życia, wysuwa się kwestia aktualnej samopomocy gospodarczej mas żydowskich jako doraźne palące zadanie. I na kwestię skutecznych dróg tego zbiorowego wysiłku społeczeństwa żydowskiego musi żydowska myśl i praktyka ekonomiczna dać wystarczającą odpowiedź.



Oskar Wolfsberg (Jeruzolima)

## Plan Akademii Hebrajskiej

Plan Akademii Hebrajskiej, która ma być utworzona na wzór akademii umiejętności w Europie i w Ameryce, wymaga głębokiego zastanowienia. Projekt taki nie może powstać i być zrealizowany pod wpływem chwilowego nastroju, pod wpływem efemerycznego zachwyty dla rzeczy wzniosłych. Nie powinniśmy się upajać samą nazwą.

Przez długie wieki mogliśmy się obywać bez wielu rzeczy wielkiej wagi, a teraz staliśmy się nagle niecierpliwymi. Pomijając już rolę, jaką we wszelkich takich sprawach odgrywa talent organizatorski, powstawanie instytucji tego rodzaju nie jest rzeczą sprytną. Instytucja taka musi się rozwijać. Musi wyrosnąć na podłożu pewnych i trwałych zakładów kulturalnych i naukowych. A to wszystko wymaga czasu i spokoju. My wprawdzie rozporządzamy znaczną liczbą uczonych żydowskich, ale nie posiadamy tradycji zakładów naukowych najwyższego rzędu.

Trudności, związane z realizacją projektu Akademii, są niezmiernie wielkie. Istnieją dwie zasadnicze drogi. Albo się dąży do stworzenia Akademii, która jest reprezentacją całego narodu żydowskiego i stanowi jego najwzrostszy związek duchowy, albo też ogranicza się Akademię do samej Palestyny. Wprawdzie w tym ostatnim wypadku mogłaby przyjąć do swoich szeregów uczonych

stwierm. Nie ma to nic wspólnego ze szpiegowaniem poglądów i nie oznacza wkraczania w sferę spraw osobistych. Nie chodzi tu zupełnie o żądanie natury partyjnej. Nie wystarczy jednak oprzeć roszczenia do miejsca w akademii na tym, że się jako Żyd zostało skądś wypędzonym. Konieczny jest pozytywny stosunek do losów naszej społeczności i do przyszłości naszego narodu oraz jego dążeń narodowych.

Powstaje z kolei pytanie: Kto ma miarować pierwszych „akademików”? Losy akademii są w wielkiej mierze zależne od tego pierwszego kroku. U nas brak jeszcze rozmaitych instytucji, toteż wszystko jest jeszcze trudniejsze niż gdziekolwiek. Widzę tylko jedną drogę: powołanie pierwszych mężów do Akademii musiałyby być powierzone dość szczeremu gronu, które cieszyłoby się nieograniczonym autorytetem w całym świecie żydowskim. Grono ludzi, których poziom duchowy, etyczny i narodowy nie budzi żadnych wątpliwości.

Kogo należy powołać? Tu zbliżamy się już do sfery zadań akademii. Problem polega na tym, czy Akademia Hebrajska ma mieć czy więcej iść za przykładem towarzystw naukowych, czy też znaleźć sobie własne drogi. Z pewnością należy w ramach Akademii uszanować godność wiedzy. A czy wybiła już godzina dla Akademii Sztuki i czy artyści mają otrzymać miejsce we wspólnej akademii — wymaga głębokiego zastanowienia. Jestem zdania, że w akademii w każdym razie musi się znaleźć miejsce dla ludzi nauki i żydowskiej, dla reprezentantów tradycji uczoności, której nie zwykliśmy obejmować pojęciem wiedzy. Nie może tu zabraknąć szczególnego typu wielkiego talmudysty, który jednocześnie jest wielce pobożną i mądrą osobistością. Podobnie też musi zająć wśród tego zgromadzenia poeta-mysliciel, wychowawca i przewodnik narodu. Jako przykład podaje rozmyślnie dwóch zmarłych: Kuka i Bialika.

Poszczególne zadania i dziedziny nauki, którym poświęcić się ma Akademia, nie mogą tu być szczegółowo rozważone. Wszystkie gałęzie wiedzy żydowskiej ze szczególnym zaakcentowaniem języka hebrajskiego, jego historii, literatury i t. d. muszą tu być reprezentowane. W tej dziedzinie zaś nie powinniśmy zanadto ulegać szablonowi. Do akademii nie muszą wejść wyłącznie ludzie, którzy bez wszelkiej myśli o rygielnej krocą po udeptanych ścieżkach, którzy postępują utartym szlakiem wiedzy żydowskiej i teologicznych lub tym pokrewnych zakładów. Istnieją ludzie bez żadnego urzędu akademickiego, którzy wprawdzie mało prac opublikowali w porównaniu z oficjalnymi badaczami (którzy rok rocznie nieodwołalnie przedkładają światu rezultaty swej pracy), którzy mało czym się mogą wykazać pod względem liczebności, a jednak tak bardzo górują swą wiedzą fachową, zakresem i głębią swej uczoności, że ich kwalifikacje na członków akademii nie ulegają żadnej wątpliwości. W zupełności uznają uprawnienie twórczych ludzi nowoczesnego typu do wstąpienia do akademii. Ale chcę zastrzec udział i tym nielicznym, u których żywa jest jeszcze wielka spuścizna, pozostawiona nam przez przodków, spuścizna ta nie jako bezkształtna masa, lecz jako substrat, którego ukształtowanie pozostawione jest właśnie ich sile duchowej. Pretensje do uznania ma nie tylko filozofia żydowska, stanowiąca przedmiot badań historycznych, ale również i ta, która dąży naprzód i stawia sobie za cel odrodzenie myśli żydowskiej i jej usystematyzowanie.

Trudności podmiotowe i przedmiotowe są wielkie. Może one są nie do przewyżyczenia. Ale trzeba to wypróbować przed założeniem akademii. Nieudana próba założenia może na długo sparaliżować realizację wielkiej myśli. Natomiast można w razie potrzeby odroczyć realizację projektu. Akademia jest rzeczą konieczną, ale nie pilną. Zbiorowość ma interes we wszystkim, co podlega jej władzy. Ze zbiorowości więc należy wybrać nieliczną grupę znakomitych ludzi, którzyby wszystkie wstępne i istotne kwestie dokładnie przestudiowali, ale niczego nie przesądzała.

J. Bleiberg

## Apostoł pesymizmu o miłości

(NA MARGINESIE 150 ROCZNICY URODZIN SCHOPENHAUERA).

Artur Schopenhauer, twórca nowoczesnego pesymizmu, genialny i żarliwy apostoł rezygnacji i wyrzeczenia, który sam jednak używał, a nawet i nadużywał uciech i rozkoszy doczesnych, usprawiedliwiając się swojej niekonsekwencji tym, że filozof nie powinien być święty, był pierwszym filozofem europejskim, który włączył problem życia seksualnego do całokształtu swego filozoficznego systemu. Poświęcił mu nawet osobną rozprawę p. t. *Metaphysik der Geschlechtsliebe* (Metafizyka miłości seksualnej), uważaną przez myśliciela za jedną z najbardziej cennych pozycji w jego piśmarniku dorobku, za „filozoficzną perłę”, jak ją sam nazwał w swoich Pamiętnikach. Trudno tej ocenie odmówić słuszności. Niewielka praca Schopenhauera jest istotnie małym arcydziełem literackim, wzorem filozoficznego essay'u, łączącego ścisłość i głębię myśli z żywością i plastycznością stylu, dialektykę filozoficzną z literacką ekspresją, naukę ze sztuką.

Przed przystąpieniem do omówienia filozofii miłości Schopenhauera, uważamy za stosowne podkreślić, iż nie należało on do tych myślicieli, którzy budowali swoje wnioski na podstawie samej tylko obserwacji. Podstawą jego rozmyślań była zawsze żywa prawda własnego doświadczenia, to, co sam przeżył i przecierpiał. Dlatego też pisma Schopenhauera nie noszą na sobie bezbarwnego i bezosobistego piętna filozoficznej abstrakcji, lecz są bezpośrednim, krwią pisanym dokumentem jego duchowej udręki, literacko-filozoficznym wyrazem jego wzlotów i upadków, przebytej przezeń ciernistej drogi do własnej smutnej prawdy o świecie i człowieku. Stąd też pochodzą, tak rzadko u filozofów spotykany, silny osobisty ton jego dzieł, owa oryginalnie schopenhauerowska pasja, która zdecydowała o wielkiej ich popularności i poczytności.

W młodszych latach cechowała Schopenhauera niezwykle silna zmysłowość, w której widział fizjologiczne niejakie potwierdzenie swego geniuszu. Sądził bowiem, iż wzmocniona pobudliwość seksualna jest fizycznym podłożem nieprzeciętnych intelektualnych uddolnień. Powodowany wybujałym egoizmem, zamiłowaniem do wygody i bezwzględnej niezależności, pozostał w stanie bezzęnnym, motywując do obłudnie tym, iż obowiązki wobec rodziny mogłyby mu przeszkodzić w pracy dla dobra ludzkości...

We wstępie do swej „Metafizyki miłości” zarzuca Schopenhauer wielkim filozofom, że zajmowali się najbardziej abstrakcyjnymi, odwrwanymi od życia zagadnieniami, poszukiwali rozwiązania zagadki bytu, tworzyli ideały ludzkiego postępowania, ignorując jeden z głównych problemów życia ludzkiego. Nie zajmowali się analizą miłości, która jest, obok dążeń do samozachowawczej, najsilniejszym przejawem woli do życia, jednym z głównych motorów ludzkiego działania, która odbiera spokój najuczciwszym i najmędrszym, łamie najświętsze kariery, prowadzi najuczciwszych na manowce zbrodni i występku, bierze w swoje jarzmo wielkich i maluczkich, jest, jak to słusznie mówiono w starożytności, tyranem bogów i ludzi: Tu deorum hominumque tyrannus, Amor (Miłość, tyranie bogów i ludzi). Wielcy bohaterowie, którzy nie skarżyli się nigdy na swój los, przyznawali się do swej serdecznej niemości, gdy ich opano wywalał demon seksualnej miłości.

Autor poczytuje to sobie za zasługę, że pierwszy poddał filozoficznej, ściśle mówiąc fizjologicznej, analizie miłości, będącą dotychczas głównym tematem poetów. Ułubiency Muz opiekują ją od wieków w najpiękniejszych słowach, opisują piekło i niebo uniesień miłosnych, otaczają ją aureolą świętości i dostojności, nie wyjaśniając jednak jej najgłębszej, metafizycznej treści, tkwiącej w instynkcie. Instynkt jako taki posiada wyższe, pozapersonalne cele. Ma on na względzie nie nasze osobiste szczęście, lecz dobro przyszłego pokolenia, interes gatunku. On to nadaje miłości siłę żywiołowego pożądania i sprawia, że się nam zawsze pierwsza miłość wydaje ostatnią, a ostatnia pierwszą, że opanowani nią negujemy z góry możliwość jej wygaśnięcia, wierząc święcie i niezachwianie, że kochać będziemy raz tylko jeden, jak raz żyjemy i umieramy... Instynkt nadaje ton całemu naszemu życiu psy-

chicznemu, czyni nas „narzędziem i zegarem” jednego pożądania, wobec którego wszelkie rozumowanie jest zupełnie bezsilne — „Mit Gewalt ergreift uns Liebreiz weiblicher Gestalt” — (Göethe). Bezsilność naszą maskujemy wówczas wyniosłą pogardą dla „zimnego” ograniczonego, nie znającego wyższych praw serca...

miast bez młodości zostawia nas obojętnymi.

Mężczyźni i kobiety kłamią, gdy twierdzą, że zakochali się w duchowych właściwościach swych partnerów. Celem bowiem małżeństwa nie jest wymiana myśli, obcowanie duchów, lecz wydanie potomstwa. Małżeństwa z miłości zawierane są w interesie ga-



Miłość najbardziej na pozór poetyczna i eteryczna, najbardziej delikatna i subtelną w swych zewnętrznych przejawach, jest w istocie swym rezultatem zindywidualizowanego popędu płciowego, intuicji instynktu, upatrzonego w danych osobnikach najdoskonalsze narzędzie dla swego celu: wydania na świat dziecka o możliwie najdoskonalszych cechach (Alle Verliebtheit, wie aetherisch sie auch gebärder mag, wurzelt allein im Geschlechtstriebe). Dlatego nie można w zrozumieniu konkretnych przypadków erotycznej „infekcji” stosować obiektywnych, racjonalnych kryteriów. Pytania w rodzaju takich jak: co on w niej widział? dlaczego ją tak ubóstwia i t. p. muszą pozostać pytaniami retorycznymi, chodzi bowiem o sprawę nawskroś irracjonalną i tajemniczą, gdyż instynkt nie zwierza nam się ze swoich planów, ani nie pyta nas o pozwolenie... Gdy zakochani spoglądają na siebie tęsknie i namiętnie zapala się w ich spojrzeńach ognisko nowego życia. Nie zdają oni sobie oczywiście z tego sprawy i w swej świętej romantycznej naiwności sądzą, że to chodzi o ich szczęście i przyszłość, podczas gdy w rzeczywistości są oni tylko ślepych wykonawcami suwerennej woli instynktu. Dążenie zakochanych do złania się w jedną istotę realizuje się w całości dopiero w potomstwie, w którym kojarzą się z sobą cechy dziedziczne obojga rodziców.

Gdy dwoje ludzi odmiennej płci lustruje się wzajemnie z badawczą skrupulatnością na ulicy podczas przypadkowego spotkania, gdy narzeczony obserwuje krytycznie powierzchowność swej narzeczonej, przypisując wagę każdemu „więcej” lub „mniej”, geniusz gatunku czyni „terenoznawczym” poszukiwaniom, bada możliwości realizacji swego pozaindywidualnego i ponadindywidualnego celu.

Instynkt płodzenia, jako geneza miłości płciowej, objaśnia też większą stałość w miłości kobiety od mężczyzny, który po zaspokojeniu żądy tęskni za odmianną, tak iż każda inna kobieta dlatego tylko, że jest inna, podnieca go więcej niż ta, do której ma prawo. Miłość kobiety zaś wzrasta po seksualnym zadośćuczynieniu, pogłębia się duchowo. Natura bowiem nakazuje jej, aby zachowała dla swego dziecka opiekuna i obrońcę. Jej stałość w miłości jest więc również na usługach gatunku.

Także względy, którymi się w miłości kierujemy, utwierdzają nas w przekonaniu, że jest ona tylko zamaskowanym instynktem. Decydują bowiem głównie względy cielesne. Najważniejszą rolę odgrywa właściwa budowa ciała, kompensująca wszystkie braki twarzy, następnie ładne nogi i piękne zęby. Szczególną siłą atrakcyjną dla mężczyzny posiadają pełne i kształtne kobiece piersi, gdyż zapowiadają obfity pokarm dla przyszłego owocu miłości. Nadmiernie natomiast otyłe kobiety nie wywołują erotycznej podniecenia, ponieważ otyłość zawiera niebezpieczeństwo bezpłodności, unicestwiającej właściwy cel miłości. Rozstrzygającym czynnikiem jest oczywiście wiek. Młodość bowiem jest pięknością posiada pewien urok, piękność nato-

tunku, a nie dla szczęścia pobierających się. Dlatego są one tak często nieszczęśliwe. „Kto żeni się z miłości, ten cierpieć będzie całe życie” — głosi popularne hiszpańskie przysłowie. Nie wiasta, która, idąc za głosem instynktu (potocznie mówi się — serca...) woli biednego młodzieńca, niż starszego, bogatego pana, składa często swoje ostate szczęście na ołtarzu dobra gatunku, ponosi ofiarę, aby móc urodzić zdrowe, piękne dziecko. Tak więc małżeństwa dochodzą do skutku, albo kosztem interesu jednostki, gdy są zawierane z miłości, albo kosztem interesu gatunku, gdy je kojarzy rozsądek.

Schopenhauer zaznacza, iż jego pogląd na miłość nie pomniejsza jej bynajmniej. Odczyta on prawdę jej romantyczne uroki, odbrązowia ją, jakbyśmy to dziś, posługując się terminem Boy'a, powiedzieli. Z drugiej jednak strony wydobyla jej głęboki metafizyczny sens, ukazuje jej istotne biologiczne oblicze. Już poeci przeczuwali, nie znając jeszcze fizjologicznego mechanizmu miłości, że jest ona silniejsza niż śmierć. Pożądanie bowiem, stanowiące dynamikę miłości, jest pożądaniem nieśmiertelności w dalszym życiu gatunku.

Zreferowany przez nas pogląd wielkiego pesymisty na miłość pozostaje w ścisłym związku z zasadniczą tezą jego filozofii. Według tej tezy świat jest w najgłębszej swej treści ślepy, niepokornym pożądaniem i chęcią, irracjonalną wolą, nie dająca się nigdy ostatecznie poskromić, zasposkocić. Do takiego poglądu doszedł Schopenhauer, uogólniając naturę ludzkiego ducha, w którym widział niejako model wszechświata. Pożądanie i dążenie, objawiające się w naszej przyjemności i przykrości, we wszystkich naszych uczuciach i pragnieniach jest, według niego, subiektywnym wyrazem obiektywnej istoty świata, jako jednolitej, uniwersalnej prawdy do życia i trwania. Jej najpotężniejszym przejawem w człowieku jest miłość. Jest rzeczą zrozumiałą, że taki pogląd musiał w nieuchronnej konsekwencji doprowadzić do pesymistycznych wniosków i do poszukiwania wyzwolenia z życiowej męki w unicestwieniu woli do życia — w buddyjskiej Nirwanie.

Filozofia miłości Schopenhauera, ukazująca człowieka, jako bezwolne narzędzie nieznanym mu celów była jednym jeszcze motywem, utwierdzającym filozofa w przekonaniu, że życie jest tantalową udręką. Pesymistycznym też akordem kończy Schopenhauer swoją piękną rozprawę: „Gdy ze stanowiska naszych rozważań spoglądamy w chaos życia, widzimy wszystkich pochłoniętych jego nędzą i cierpieniem, natężających wszystkie siły, by zaspokoić nieustające potrzeby i zwalczyć różnorodne cierpienia.

Wzamięniam za swoje zabiegi uzyskują oni jedynie smutną nadzieję przedłużenia o chwilę nędznego, pełnego udręczeń, bytowania.

I oto w tym życiowym zgiełku zakochani spoglądają na siebie z tęsknotą — dlaczego tak tajemniczo, trzaskawie i ukradkiem? Są oni bowiem zdracjami, którzy w ukryciu usiłują uwiecznić ból i męczarnię, pogłębić niepokój i nędzę żywota...”



z innych krajów. Jasną rzeczą jednakże jest, że w pierwszym wypadku byłaby to akademii żydowska, w drugim — hebrajska. Mimo, że stanowczo wolę tę drugą ewentualność — uważam tylko pierwszą na razie za możliwą do zrealizowania. Nie wpływa to oczywiście z negatywnego stosunku do języka hebrajskiego i Palestyny (sądzę, że nikt mnie nie posądzi o taką awersję), ale z przeświadczenia, że szeroki świat żydowski właśnie posiada ludzi i zadania, które tę próbę mogą przeprowadzić. Rzeczą zrozumiałą jest dla mnie, że również i w tym wypadku Erec Isra'el musi być siedzibą akademii. Ale inicjatywa i decyzja w sprawie o tak doniosłym znaczeniu nie może przysługiwać tak stonkowo niewielkiej liczbie ludzi. O losach takiej instytucji bowiem rozstrzygają ci, którzy ją tworzą. A jestem zdania, że profesorowie Uniwersytetu Hebrajskiego za bardzo są jeszcze zajęci organizowaniem uczelni, żeby ich można było na dodatek obarczyć tak skomplikowanym zadaniem. Nasuwa się tedy pytanie, czy grono ludzi, które wyklada w Jeruzolimie, okaże się tą zdolną do dźwignia ciężaru bazy? Widzieliśmy przecież, że Uniwersytet przed niejednym z wielkich badaczy i myślicieli we właściwej dziedzinie wiedzy żydowskiej zamknął swe podwoje. Mówię to bez żadnego zamiaru krytyki, lecz w celu zobrazowania sytuacji.

Nie trzeba jednakże zamykać oczu na trudności, piętrzące się po drugiej stronie, a związane z utworzeniem akademii na szeroką skalę. Są one przede wszystkim natury technicznej: rozpoznanie idei po świecie nasuwa ogromne przeszkody, posiedzenia mogłyby się odbywać tylko w wielkich odstępach czasu. Znaczenie zaś względnie częstych posiedzeń i osobistego kontaktu jest dla akademii właśnie bardzo duże. — Problem językowy jest niezwykle hamulcem. Niemożliwą rzeczą jest zlekceważyć szczególną rolę języka hebrajskiego, a niewiela nim władza.

Akademia musiałaby dalej podołać jeszcze jednemu, zupełnie nie technicznemu zadaniu. Musi ona powołać ludzi o wielkiej wiedzy, nie może jednak wyzierać się w stosunku do swych członków pewnych minimalnych żądań, związanych z żydo-



# STER MŁODYCH

„SADY OGÓLU NASZEGO O ŻYDACH SĄ ZAZWYCZAJ CAŁKOWICIE POZBAWIONE PUNKTU WIDZENIA PORÓWNAWCZEGO. NIEPODOBNA WYPROWADZIĆ SŁUSZNYCH WNIOSKÓW O JAKIMKOLWIEK ZJAWISKU, BEZ ZESTAWIENIA GO Z MNÓSTWEM ZJAWISK TEJŻE SAMEJ LUB POKREWNEJ MU NATURY“.

(Eliza Orzeszkowa).

## MIGAWKI

### Swawolnego Dyzia syny

(O „NASZYCH DZIECIACH“)

Ciekawe, co też się stało ze swawolnym Dyziem? Gdzie się teraz podziewa, jakie w Państwie zajmuje stanowisko? I jakim jest ojcem?

No, bo trzeba pamiętać, że już dużo lat upłynęło od owej znanej nam podróży do Ciss z d-rem Judymem. Dziś swawolny Dyzio nie jest już małym chłopcem — swawolnym może pozostać — ale już sam ma synów w dojrzewającym wieku.

I jacy to są, ci synowie? Czy to ci, którzy Judymowi dziury w bucie wiercą, a Judzie — w głowie? Czy oni Judyma z powozu wypędzają, a Judę wyrzucają z pędzącego pociągu?

Matka swawolnego Dyzia pobłażliwie przyglądała się wybrykom swego syna. Nie ganiła jego postępów, nie strofowała go. Stawała jeszcze w jego obronie, tłumaczyła go. Przecież to jest dziecko, ono musi się pobać, trochę wyszumieć. Takie są wszystkie dzieci, w jego wieku, a te wybryki, popełniane przez nasze dzieci, naszą krew i naszą nadzieję, są „bliskie naszym sercu“ — mawiała zapewne. Zapominając wtedy o tym tylko, że „czym Dyzio za młodu nasiąknął, tym na starość traci“.

I ciekawe właśnie, jak też dziś szanowny pan „Dyzio swawolny“ — pater swoich synów naucza. Na jakich obywateli wychowuje ich?

Czy to czasem nie jego właśnie synowie swawolni — swawolą po straganach jarmarcznych i Saskich ogrodach?

Drogi, kochany, swawolny Dyziu! Wybacz, że postawiłem tych kilka drażliwych pytań, i wybacz niemiłe może wspomnienie z pierwszego spotkania z tym szewcem — Judymem. Ale przy okazji przypomnij sobie — tentego, — jak to on cię — tentego — wziął na kolana — tentego, — i — tentego —!

Przypomnij sobie i pomyśl, że gdyby cię matka — ciebie kochanego synka, jej sercu tak bliskiego — trochę poskramiła, że gdyby ciebie troszeczkę od chamstwa hamowała, że gdyby ciebie tylko nieco lepiej wychowywała — nie byłoby doszło do scysji między tobą a d-rem Judymem — tym szewcem.

Przypomnij sobie, i nauczaj swego syna, jak to odnosi się należy do ludzi starszych, do bliźnich, do ludzi! Pohamuj nieco jego ze skłonności, a zaoszczędzisz mu spotkania się z szewskimi synami, szewską pasję. Wtedy syn twój może wcale nie będzie wiedział o twojej znajomości z ręką Judyma i o jego sławetnym lanu!

R. BAUM

## RÓŻE I KOLCE

Posel Wojciechowski zaproponował w Sejmie by zagranica uzamian za surowce przyjmowała... Żydów.

Panu posłowi polecamy kilka dobrych podręczników z towaroznawstwa (Bigda, Humnicki, Feil i t. d.), w których pisze jak wół: „TOWAR EM NAZYWAMY WSZYSTKO TO, CO MOŻNA KUPIĆ I SPRZEDAĆ“.

A niechno pan Wojciechowski spróbuje kupić lub sprzedać Żyda?!

Ten sam poseł na tym samym posiedzeniu oświadczył, że awantur na uniwersytecie urządzać nie wolno, bo to nieładnie.

Niegrzeczne jednak „dzieci“ nie słuchają starszych i biją. Poczuj więc broń „nasze dzieci“. Niech się lepiej słuchają starszych, a z właszcza tych Panów Profesorów z Lwowa, którzy używają do spokojnej nauki. Tak będzie lepiej. A pan poseł Wojciechowski nie będzie musiał wtedy bronić „nasze niesforne dzieci“. A czas najwyższy, kochane dzieci, do książki, bo wakacje za pasem! Z promocją może być krucho?!

Rozzuchwalone gettem „dzieci z pod wiadomego znaku“ postanowiły zerwać wszelkie stosunki towarzyskie z Żydami. „Kto więc ośmieli się przebywać z Żydami, poddany będzie pod sąd organizacyjny, który orzeknie bądź pozbawienie praw członkowskich bądź usunięcie z organizacji“ — tak

## S. STRELCYN

# TEATR SZKOLNY

Jeśli się zastanowimy nad celem wszelkiej pracy teatralnej, zarówno wśród dorosłych, jak i wśród dzieci, dojdziemy do wniosku, że teatr posiada za cel, niezależnie od formy swojej, podniesienie duchowe widza.

Zgodzimy się także z tym, że do podniesienia duchowego nie prowadzą w żadnym wypadku praktyczne pokazy moralności i cnoty.

A jednak do niedawna pokutował sąd ten we wszystkich formach teatralnej pracy wśród dzieci: zarówno w teatrach dziecięcych, jak i w teatrach dla dzieci. Obecnie położyła współczesna pedagogika podwaliny pod nowy teatr dziecięcy, którego najpowszechniejszą i najważniejszą postacią jest teatr szkolny.

W latach powojennych zdobył sobie teatr szkolny wielu entuzjastów wśród pedagogów i teatrologów państw nowoczesnych. Szczególnie pomyślnie rozwinął się teatr szkolny w dwóch państwach: w Rosji Sowieckiej i w Niemczech przedhitlerowskich, gdzie idee jego propagowali tacy, jak Meyerhold, Kierżenczew, Satz (Rosja), Otto Ostrowski (Niemcy).

U nas długo nikt się teorią, ani praktyką teatru dziecięcego nie zajmował. Pierwszym pionierem na tym polu, pierwszym, który zgłębił zagadnienie teatru szkolnego i poznał je z praktyki państw sąsiednich był tragicznie zmarły dyrektor gimn. J. Świątek (zał. Komarnicki, Szlezingerowa) Lucjusz Komarnicki, polonista i świetny pedagog.

Lucjusz Komarnicki pierwszy w Polsce oenił rolę pracy teatralnej wśród dzieci i pierwszy włączył ją do stałego programu zajęć szkolnych. Jego teatr szkolny „Muza“ (do dziś dnia istniejący i rozwijający się) został zorganizowany w ten sposób, że poszczególne części pracy nad widowiskiem powierzone zostają różnym zespołom uczniom. Tak więc opracowaniem tekstu zajmuje się koło literackie, ilustracją muzyczną — zespół muzyczny, inscenizacją — zespół aktorski, a pracami technicznymi — brygada techniczna.

Całość pracy teatralnej w szkole pomyślna została w jak największym powiązaniu z programem szkolnym w poszczególnych przedmiotach nauczania.

Założony pierwszy teatr szkolny sędzi Komarnicki po racjonalnej linii wypracowania dla niego samodzielnej formy i odrębnej tematyki. Jeżeli bowiem scena szkolna ma sprostać swemu zadaniu, drogi jej muszą się różnić od dróg teatru zawodowego dla dorosłych. Wynika to przede wszystkim z różnicy psychiki dziecka i człowieka dorosłego. Człowiek dorosły zadawalnia się konsumpcją dzieła sztuki, dziecko pragnie nie tylko patrzeć na rzeczy piękne, ale je także tworzyć,

stąd w miarę możliwości wszyscy konsumenci teatru szkolnego (mówimy o widowisku wewnątrzszkolnym) powinni być zarazem jego producentami.

Pracę swoją na terenie „Muzy“ prowadził Komarnicki do r. 1926, w którym zakończył życie. Wyniki pracy jego nie spopularyzowały się tak szybko, trzeba było na to czekać powyżej dziesięciu lat.

W ciągu tego długiego okresu czasu sprawa popularyzacji teatru szkolnego posuwała się w Polsce zółwim, zaiste, krokiem. Nie można powiedzieć, by w okresie tym mało było szkolnych widowisk; było ich aż za dużo. Praca jednak nad realizacją ich leżała z reguły w rękach jednego członka Rady Pedagogicznej, który traktował zwykle widowisko, jako swój własny popis, widząc cel pracy w nim właśnie, nie zaś w pracy samej. Zresztą systematyczna praca teatralna na terenie szkoły prawie nie istniała. Wszelkie t. zw. koła dramatyczne, artystyczne etc. wykazywały się aktywnością jedynie w przededniu uroczystych obchodów państwowych (dni imienin Marszałka, Prezydenta, rocznice powstań), lub tradycyjnych żydowskich (Chanuka, Purym).

W ostatnich dopiero czasach ulegają warunki na omawianym odcinku pracy szkolnej poprawie. Wpłynęły na to zasadniczo dwie okoliczności:

1. Zmiany w systemie nauczania, idące po linii korelacji pracy różnych przedmiotów,

2. Ukazanie się prasy fachowej, wydawanej przez Z. N. P. \*)

W czasach, gdy się tyle o korelacji mówi i pisze, zdaje sobie coraz większa liczba pedagogów sprawę z tego, że właśnie teatr szkolny jest placówką, na której można zrealizować współpracę nauczyciela polonisty, nauczyciela śpiewu, rysunku, pracy ręcznej, rytmiki etc.

Jeżeli chodzi o sprawę prasy, to jest ona pomocą dla każdego związanego z teatrem szkolnym nauczyciela, nie mówiąc już o reżyserze.

Jak już wspominałem, w ostatnich latach warunki pracy teatrów szkolnych mają się ku lepszemu. Coraz częściej angażuje się siły fachowe, które przy współpracy nauczycieli różnych przedmiotów kierują teatrem. Zjawisko to można także obserwować na terenie warszawskich żydowskich szkół powszechnych i średnich.

Łudził by się jednak ten, kto by kładł zmianę stosunku kierownictw szkół do sprawy sceny szkolnej wyłącznie na karb poznania wartości, jakie praca na tym odcinku wnosi do życia szkolnego. Mają tu wielkie znaczenie i względy konkurencyjne. Myśli

\*) Pamiętać jednak należy, że działo się to wszystko w okresie „przedmusiolowym“.

się: „A. dał śliczne przedstawienie, B. urządził widowisko w „Cyruliku“, rodzice byli zachwyceni, musimy także coś pokazać. Wiele się w szkołach żydowskich (a chyba i w nieżydowskich także) robi dla rodziców. Przedstawienia urząda się także często dla nich. Żaden kierownik się do tego nie przysna, rozpatruje jednak nierazko zagadnienia pod takim kątem: „musi być coś takiego, co by się rodzicom spodobało“. Nie ma się na względzie samej pracy teatralnej, lecz końcowy, mniej ważny z punktu widzenia wychowawczego, popis sprawności — widowisko.

Do poprawy tych stosunków, do uświadomienia kierownictw szkół i nieświadomych znaczenia teatru szkolnego kolegów powinni dążyć nauczyciele. Reżyser szkolny czyni to od dawna.

P. S. Na marginesie powyższego artykułu ciekawe jest przytoczyć następujące uwagi:

Wydawany przez Z. N. P. miesięcznik „Teatr w szkole“ poświęcił między innymi wiele miejsca pracy L. Komarnickiego i jego „Muzy“. Nr 6 „Teatru w szkole“ z r. 1937 poświęcony był sprawom tym całkowicie. W numerze tym podany został scenariusz widowiska na temat „Szkoła w różnych krajach“, zrealizowanego przez „Mużę“. Jedną ze scen obrazuje naukę w chederze. Zwiększył to jakiś T. G. z Narodowego Dziennika ABC i umieścił w piśmie swym (dn. 14 marca artykuł p. t. „Seit Gesint“, w którym rozprawia się między innymi z wymienionym wyżej numerem „T. W. S.“.

Piękną odprawę otrzymał pan T. G. od Henryka Ładosza, redaktora „T. W. S.“, który w 7/8 numerze z ub. r. pod nagłówkiem: „Seit Klüger“ pisze: „... pan T. G. nie wie nic ani o teatrze szkolnym, ani o L. Komarnickim, ani o naszym piśmie. To byłoby za trudne. Ale za to wżęszył żydów (musiał mieć, biedak, babkę żydówkę). Stąd tytuł artykułu (chodzi o scenkę w chederze) i stąd głupawe oraz porozumiewawcze mruganie w stronę mającego być olśnionym aryjską czujnością czytelnika: „Pod słowem — nic nie zełgałem“.

Wierzmy! nawet chcąc zełgać — trzeba coś umieć. Norwid powiedział: „Bierźcie przykład z żydów, o Rodacy!“ Lucjusz Komarnicki znalazł przystań dla swej pracy właśnie w gimnazjum żydowskim. Gdyby nie to — może by tej pracy w ogóle nie było... Praca „Muzy“ jest pracą wzorową. Wiele się możemy z niej nauczyć. Uczmy się więc, jeśli to ma wyjść polskiej szkole na chwałę i korzyść. I bądźmy dobrej myśli, że nawet życzenie zawarte w tytule niniejszej notatki może pomóc panu T. G. Słaba nadzieja — to prawda. Ale może...“.

## LIST Z PROWINCJI

Zwykły dzień powszedni. Piątek 30 grudnia. Inny od poprzednich. Na rynekach pustki. Brak straganów. Nie widać chłopów z nabiałem. Ciska. We Włocławku targi odbywają się w soboty. Żydzi znów wyrugowani z pozycji zarobkowej. Dziś endecja ma głos.

Co będzie? — to pytanie na wargach wszystkich.

Z wszystkich stron miasta śpieszą dzieci: dzieci żydowskie: blade, zmarnięte. Na ul. Królewieckiej przed salą „Makabi“ olbrzymia gromada. Nie

brzmi ostatnia uchwała nowokreowanych hitlerowców.

Panowie endoenerzy, nie straszcie porządnym ludzi! Młodzież żydowska poczytuje sobie za wstępny zaszczyt zadawać się z rycerzami pałki i kastetu, ona woli pióro i książkę.

Oprócz kasteciarzy i pałkarzy istnieje jeszcze w Polsce światła młodzież polska, z którą łączą młodzież żydowską serdeczne więzy. Z nimi młodzież żydowska spotka się w bibliotekach, seminariach.

JOTEN.

odróżnisz nikogo. Wielka masa zniszczonych palt, marynarek, czapek, beretów, butów, pantofli.

Dziurujący przy wejściu nie mogą sobie dać rady. Dzieci są niecierpliwie. Każde chciałoby być pierwsze. Wolny wstęp dla wszystkich. Co za niezwykły wypadek. Ustyszeć kogoś ze sceny, zobaczyć coś nowego, wyjść ze swoich piwnicznych izb zimnych, zadymionych pokoiów.

W sali „Makabi“ ma przemawiać do dzieci NATAN BYSTRYCKI, poeta z Erec - Izrael. Bez żadnej opłaty wszyscy mogą wejść.

Już zajęte miejsca. Wsuwam się między dzieci. Chcę się cieszyć razem z nimi, śpiewać z wszystkimi, słyszeć jak one pozdrowienia od naszych, „sabr“.

Jakaś mała dziewczynka, siedząca obok mnie, bez czapki na głowie, bez rękawiczek (powiedziała mi, że jak mama utarguje raz pieniądze to jej kupi i czapkę i rękawiczki i ładny szal) pyta mnie, wskazując palcem na olbrzymi portret Herzla, wiszący nad kurtyną: „czy ten pan będzie przemawiał do nas? Nie zdążyłam jej wyjaśnić, a ona znów pyta, wskazując tym razem na fortepian, „to jest radio? Godz. 11.30.

Na sali ukazuje się W. Bystrycki. Burza oklasków. Bystrycki się uśmiecha. Dzieci czują się swobodnie.

Po kilku chwilach podnosi się kurtyna. Przy długim, zielonym stole po obu stronach poety siedzą dzieci. Wysokie kandelabry z płonącymi świecami, zielone sukno — nastraja je poważnie. Ich lica są zadumane.

Młoda republika dziś przewodniczy. Nie słychać pozdrowień z tej i tamtej organizacji, z tego i owego stowarzyszenia. Nie słychać już szumnych słów o reakcji, faszyzmie jak dni poprzednich w czasie akademii seniorów i juniorów. Dziś młodzież republika kieruje. Zagajaniem — pozdrowienie z „galut“: pozdrowienie od smutnych, wiecznie zatroskanych, często bitych dzieci, zagajaniem recytacja hebrajska Bialika: Techezakna, pieśń chóralna przy akompaniamencie fortepianu.

A teraz mówi Bystrycki. Dzieci słuchają z zapartym tchem. Nikt się nie porusza. Cała sala to jedno potężne ucho.

Natan Bystrycki opowiada o dzieciach Erec, o tych zawsze uśmiechniętych, swobodnych, opowiada o gajach, polach i lasach, spaceruje po całym

## HERE ENGLISH SPOKEN

### LEKCJA XIV.

#### FOURTEENTH LESSON.

(ortints lesn)

W poprzedniej XIII lekcji angielskiego podano „ucięty tytuł“ „...EENTH LESSON“ zamiast właściwego tytułu „THIRTEENTH LESSON“ (wymowa „tsörtints lesn“ w nawiasach, była podana właściwie).

GRAMMAR (grEmer)

GRAMATYKA

VERB (wörb) = CZASOWNIK

Pod względem formy czasowniki dzielą się na:

1) **REGULAR** (rEgJuler) = prawidłowe i  
2) **IRREGULAR** (irEgJuler) = nieprawidłowe.

Cechą prawidłowego czasownika (REGULAR VERB) jest końcówka ED dla wszystkich osób liczby pojedynczej i mnogiej w czasie przeszłym, zwanym PAST TENSE (zob. „Ster Młodych“ Nr. 36 z dn. 17 października 1937 r.).

Nieprawidłowy czasownik ma w czasie przeszłym (PAST TENSE) różne końcówki, a czasem nawet inne brzmienie jak np. PRESENT TENSE: I-go (aj gou) = idę PAST TENSE: I went (aj uEnt) = szedłem, a więc z „GO“ mamy odmienną postać „WENT“.

Przy czasownikach nieprawidłowych będziemy każdorazowo podawali PAST TENSE (czas przeszły).

W dzisiejszej lekcji podamy przykład koniugacji prawidłowego czasownika.

### REGULAR VERB

„To Look“ (tu luk) = „patrzeć“  
Present Tense (Preznt Tens) = czas teraźniejszy.

1. I look (aj luk) = patrzę

2. —————

3. he, she, it lookS (hi, szy, yt luks) = patrzy

1. we look (uY luk) = patrzymy

2. you look (ju luk) = patrzycie

3. they look (dzej luk) = patrzą

Past Tense (Past Tens) = czas przeszły

1. I looked (aj lukt) = patrzyłem (patrzyłam)

2. —————

3. he, she, it looked (hi, szy, yt lukt) = patrzył (-a, -o).

1. we looked (uY lukt) = patrzyliśmy

(-lyście)

2. you looked (ju lukt) = patrzyliście

(-lyście)

3. they looked (dzej lukt) = patrzyli (-ly).

Future Tense (fjUczör tens) = czas przyszły

1. I shall look (aj szel luk) = będę patrzył (-yła)

2. —————

3. he, she, it will look (hi, szy, yt uil luk) =

będzie patrzył (-a, -o)

1. we shall look (uY szel luk) = będziemy patrzyli (-yły)

2. you will look (ju uyl luk) = będziecie patrzyli (-yły)

3. they will look (dzej uyl luk) = będą patrzyli (-yły)



## Maurycy Szymel

## Miłość od wiersza

Mieliśmy zamiar napisać artykuł na temat niezrozumiałej obojętności czytelników w stosunku do słowa wiązane. Chcieliśmy wyświetlić przyczyny, dlaczego poezja należy do tak trudnych do zbycia artykułów na rynku księgarskim. Pragnęlibyśmy dać burę czytelnikowi za tego rodzaju obojętność w stosunku do jednej z najszlachetniejszych sztuk uprawianych przez człowieka i zakończyć płomiennym wezwaniem: czytelniku, otwórz oczy i przejrzy! Otwórz oczy i nawróć się do słowa wiązane, w którym człowiek zaklina całą swoją pasję życiową i całe ukochanie świata i myśli.

Alifci wpadły mi do ręki czasopisma, mające ponoć zbyt masowy, a wypełnione po brzegi właśnie i przede wszystkim wdzięcznymi rymami. A więc chyba nie tak źle jeszcze z poezją skoro tak kosztowne wydawnictwa opierają, jak widać, swój byt właśnie na utworach wierszowanych.

Z zapałem zabrał się do konsumowania tej potężnej ilości poezji zawartej w tych tygodnikach. Ku naszemu wielkiemu zdumieniu stwierdziliśmy, że 99 procent tych wierszyków śpiewa o miłości.

Dotychczas wiedziliśmy o istnieniu pewnego ściśle określonego gatunku prozy beletrystycznej pod słynną nazwą: „Küchenroman”. Są to sławetne powieści, które czytane są przy rondlu i garnkach, na kozłach dorożkarskich, przy straganach i w staropanińskich pokoiach na całym świecie. Są to powieści do płaczu „opiewające” cnotliwe życie pięknych niewinnych dziewcząt, którym los nie szczędzi ciosów, podczas gdy złym przewrotnym kusicielkom to samo życie sypie pod stopki róże i to bez kłóców. Powieści takie poruszają jedyny i wieczny temat: miłość. W szanujących się domach zakazuje się córkom i synom czytać tego rodzaju lekturę, z uwagi na to, że sieją zgorznie i działają pobudliwie na pensjonarki.

Próbowałyśmy już nieraz zajrzeć do takiej powieści, przywoływałyśmy na pomoc całą naszą fantazję byle tylko móc wyobrazić sobie jedną chociażby sytuację, jedną choćby scenę w takiej powieści. Niestety wszelkie usiłowania nasze spełzyły na niczym, i pozostaliśmy nadal „zimnymi draniem”. Podczas gdy pół strony z Zeromskiego mogło nas podekscytować do najwyższych granic, to pół tomika, gdzie od a do z — niczym innym się nie mówi jak tylko o sprawach grzesznych a cielesnych, nie zdołało nas ani przez chwilę wytrącić z trzeźwości. Jak więc widzimy, do uprawiania pornografii potrzebny jest bezwzględnie talent i to niemały.

Wiedziliśmy dotąd, że istnieje t. zw. Küchenromane, nie wiedziliśmy natomiast, że istnieje Küchendingung. Co prawda przeczuwaliśmy, że coś podobnego istnieje na podstawie tekstów piosenek szlagerskich do tang i fox-trotów — w rodzaju: „Pójdź kochanku mój” lub też: „Pani mi się śniła” czy też: „Co pani ma?” Nie była to jednak

poezja do czytania, tylko do śpiewania. Odkryliśmy tę poezję do czytania w jednym z tygodników humorystyczno-erotycznych, w których niepodzielnie króluje Amor. Anulka M. wyobrażamy sobie, że jest to mała skromna dziewczynka o jasnych oczach, o niebieskich oczkach, dla której najpiękniejszą zabawką jest lalka. Aż tu nagle przekonywujemy się, że Anulka M. pisze wiersze i to mocno erotyczne.

„Catuje usta twoje  
I wpijam się w ich miąższ  
Twojego się wzroku boję,  
A chcę catować wciąż.  
Więc jeszcze, jeszcze, jeszcze  
Z ostatnim skończę tchem,

Leon Baumberg

„Polska będzie — zobaczysz...”

Powieść dzisiejszą — jak słusznie zauważył Leon Pomirowski w swym studium o realizmie Prusa — cechuje psychologizm i gładkość konkretności. Czynności konkretne, efektywne z drobniągową skrupulatnością notowane przez współczesnego powieściopisarza nie wyczerpują indywidualności człowieka i jego bogatej, twórczej inwencji. Prawda o człowieku wymyka się z pod obserwacji konkretnych osiągnięć, a szukać jej należy w skomplikowanych przebiegach wewnętrznych, które w konkretnie uzewewnętrzniają się tylko w pewnej mierze i poza beczelny kształt uczuć lub myśli nigdy nie wychodzą. W rejonach czysto psychologicznych rozstrzyga się prawda o człowieku, a czynny jego są tylko słabym refleksem i często małodiarodajną wypadkową owych walk wewnętrznych i psychicznego nastawienia wobec realnego świata zjawisk. Namietne, drapieżne poszukiwania sensu i prawdy, coraz głębsze, chirurgiczne jakby wdzieranie się skalpelem chłodnej, beznamiętnej analizy w tajniki duszy — wszystko to ujawnia człowieka w jego bogactwie cech indywidualnych, lecz — w oderwaniu od tła społecznego, w oderwaniu od tych idei, które poruszają życie zbiorowości, które są owym „spiritus movens” każdego przełomu i każdej nowej epoki. Powieść Stefania Zahorskiej p. t. Korzenie \*) cechuje umiejętność szarmonizowania zarówno indywidualnych właściwości człowieka, jak i jego walorów na tle dążeń społecznych i narodowych. Jest to debiut powieściowy na tych właśnie łamach, zasługujący na specjalne wyróżnienie, gdyż w okresie rozpazania instynktów najlichszego gatunku, które, niestety, oznaczono mianem „narodowych”, w okresie moralności kastetowej i getta ławkowego — przypominam nam ta powieść czasy narastania idei niepodległości państwa polskiego, kiedy to hasła równości i braterstwa były motorem napędzającym w ludzi zrozpaczo-

\*) Stefania Zahorska: Korzenie. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1938.

Aż obezwładnią dreszcze  
W objęciu zwiśnię twem.  
Więc jeszcze, jeszcze, jeszcze,  
Catować pragnę tań,  
Aż szatę słodkie dreszcze  
Wypręż mnie na wznak  
I w szale zapomnienia  
W ekstazie pragnień, żądz,  
Och, catuj bez wytchnienia  
W ust moich wpij się miąższ”.

Dlaczego cytujemy ten wiersz in extenso? Aby dać próbkę tej miłości od wiersza. Przyznajemy, że ani trochę nie wierzymy owej Anulce, że tak bardzo rozpięta ją żądza pocałunków, wręcz odwrotnie, panna Anulka M. na pewno

całować się nie chce, a chce czegoś innego. Jedyne jej żądzą jest bowiem.. grafomania.

Szanowne poetki i szanowni poeci produkujący się na łamach owego tygodnika zupełnie widocznie nie wiedzą o tym, że po „Pieśni nad pieśniami”, po sonetach erotycznych Mickiewicza, po Verlaine trudno jest napisać znośny wiersz miłosny. Dla nich napisanie erotyku jest zabawką.

I jakżeż tu mówić o tym, że poezja nie ma zbytu, skoro ukazują się tego rodzaju tygodniki naszpikowane po brzegi miłością. A więc: niech żyje poezja!

Pamiętaj!  
**WOLANOW**  
stałe WZBOGACA

Zamów natychmiast los do I-iej klasy.  
OŚMIENIE 17 LUTEGO.  
Adres: Kol. Lot. Państw.  
**J. WOLANOW**  
Warszawa, Marszałkowska 154  
Konto P. K. O. 18514.

## „Polska będzie — zobaczysz...”

nych i zrezygnowanych energię i siłę wytrwania, czasy, kiedy socjalistka Anna, córka Zydta Leona Webera, zbierała po domach krakowskich odzież i bieliznę dla — Strzelców.

Świat Anny, jej najbliżsi i środowisko przeciwstawione zostały sferom zamożnego ziemiaństwa, od wieków osiadłego na własnych dobrach, z którego pochodzi kochanek i przyjaciel żydowskiej socjalistki — Jan. Psychologizm tej powieści polega właśnie na ujawnieniu głębokich różnic, dzielących ludzi z dworu Korzenieckiego od rodziny Webera, sfłoczonej w dwóch ciasnych pokoiach, gdzie wśród zawilich i krętych uliczek żydowskiego getta w Krakowie. W obu tych środowiskach inne są przyczyny konfliktów, inne powody bolesnych załamów i tragicznych przeżyć, lecz w ostatecznej konsekwencji — i w tym właśnie tkwi tajemnica sugestywnego piękna książki Zahorskiej — snują się niewidzialne nici, łączące oba te domy w jednym, ponad przyczynowym, arecyldzkiem cierpieniu. Dopiero Jan i Anna, dzieci skłóconych, nieszczęśliwych rodzin, o mentalności zupełnie różnej, o innym rozumieniu życia, szczęśliwi swą młodością, połączeni nierozzerwalnymi węzłami miłości, oddani sobie niepodzielnie, tworzą wspólną jedność i harmonię i razem idą budować — Polskę. Możemy w wielu wypadkach i to w formie zupełnie zdecydowanej nie zgodzić się z poglądami autorki chociażby w kwestii asymilacji Żydów, której propagatorem zdaje się być zwłaszcza w najintensywniejszych okresach swego życia socjalista i zwolennik Daszyńskiego — Leon Weber. Możemy nieco sceptycznie, obarczeni ciężkim bagażem smutnych doświadczeń, przysłuchiwać się wywodom Anny o jednoczesnym natychmiastowym zlikwidowaniu kwestii żydowskiej wraz z nastaniem polskiej państwowości i przebudowy socjalnej. Możemy uważać, że stosunek Zahorskiej do problemu żydowskiego jest tak samo błędny, jak swego czasu — Orzeszkowej, która pozwoliła uciec Meirowi z własnego środowiska i w dążeniach jego

oświatowych i asymilacyjnych wdziała jedyną możliwością wydzignięcia narodu żydowskiego z upadku i podniesienia go do poziomu równoprawnego odtamu społeczeństwa... polskiego, z którym z biegiem czasu nastąpić miała zupełna fuzja. Idea ta oczywiście już dawno okazała się fikcją i przykrym nieporozumieniem. Możemy wreszcie żywić pretensje do autorki, że poza ideą Webera i jego towarzyszy nie dostrzegła na ulicy żydowskiej żadnej innej myśli konstruktywnej o charakterze przede wszystkim narodowym, że poza niewątpliwie sympatyczną indywidualnością Anny — wszyscy byli już tylko sfłoczoną, czarną masą, religijnie zacofaną i brutalnie zmaterializowaną. Niemniej jednak na kartach „Korzenia” w imię najszybszych idei zbratania ludzi, w imię prawdy historycznej, której żaden oenerowiec zatrzeć nie zdoła, przedstawiony został epos stania się Polski i udział w tej wielkiej, historycznej chwili żydowskiej socjalistki Anny, może pełniejszy i bardziej dynamiczny niż Jana, który braku ojczyzny nigdy boleśnie nie odczuwał, bo miał ziemię na własność i dwór i parobków, a nigdy nie był szczuty i poniewierany. Polska była również dla Ksawerego, ojca Jana, nic niemówiącym, pustym dźwiękiem, który zbywał zawsze ironiczną uwagą lub lekceważącym gestem. Maria, ta wysubtelniona religijnie, z wyrażnymi skłonnościami do hysterii matka Jana, chociaż ciągle myśli i mówi o wyzwoleniu, różni się przeciwieństwem od tych bohaterów z „Warszawianki”, którzy w pięknej, ofiarnej śmierci dla ojczyzny widzieli istotę i sens powstania, nie rozumiejąc, że dla ojczyzny trzeba przede wszystkim umieć żyć, a nie umierać. Jest to jedna z owych pokutujących w naszym jeszcze życiu postaci romantycznych, snobizujących się wielkością praocjów i szlachectwem przodków, których psychikę i istotny sens życia ujął Wyspiański w lapidarnym zdaniu: dziś twój triumf albo zgon. Zupełne przeciwieństwo „szarego

munduru” i wcale nie pompacyjnej lecz bohaterskiej walki legionów. Najsilniej potrzebę Polski odczuwała Anna i ci robotnicy z przedmieść wszystkich miast, z facjatek i suteryn. Dlatego więc nie było przypadkiem, że Piłsudski odbijał swe pierwsze, płomienne proklamacje w konspiracyjnej drukarni, mieszczącej się właśnie w sercu nędzy żydowskiej robotniczego miasta Łodzi i to na ulicy — Wschodniej. Ze względu na Kamienną, Wschodnią i Cegielnianę szło pierwsze zarzewie buntu, które dopiero daleko później dotarło do ludzi takich jak Jan i głębokim wstrząsem dało znać, że Polski właściwie nie ma.

— Musisz iść — tłumaczyła Anna, córka Leona Webera, Janowi — ja zawsze wiedziałam, że tak będzie. Nienawidzę wojny, i mówię, byś poszedł. Nie damy rady inaczej, ani ty, ani ja... Może musimy umrzeć — ale nie można inaczej. A Polska będzie — ty to sam dobrze wiesz...

A Jan wiedział znowu tak dobrze i nie wierzył tak głęboko jak Anna. Nazywał ją „moja ty małańka marzycielko”.

Posłuchajmy co powiedziała mu Anna na pożegnanie, gdy poszedł:

„Polska będzie, zobaczysz, taka, o jakiej nikt jeszcze nie marzył, bo ci, dla których ona będzie, nie umieją jeszcze o niej marzyć. Przyjdzie Polska, ażeby oni nauczyli się żyć i myśleć, i marzyć. To będzie powstanie, bo powstaną nowi ludzie. I to będzie rewolucja, bo wszystko się zmieni, co było złe”.

Tak, przyjdzie Polska, ażeby oni nauczyli się żyć i myśleć i marzyć...

Trzeba to było dziś, złotymi zgłoskami, w dwadzieścia lat po odzyskaniu niepodległości, wypisać na murach wszystkich wyższych uczelni, wykaligrafować dużymi literami wszędzie tam, gdzie ślepa nienawidnie zasłoniła szlachetne postacie Joselewiczów, Majzelsów i — Anny.

„Korzenie” przypominają tę prostą, historyczną prawdę, w okresie, kiedy syn Jana robi „rewolucję narodową”.

## To i owo

1.

## KŁOPOTY PANA KAROLA IRZYKOWSKIEGO

Wpadł mi do ręki „Lżejszy kaliber” Karola Irzykowskiego. Takie sobie miałeś.

Rozpoczęła od prowokacji swojego „Beniaminka” — od „życia świadomego”. Biedny Boy. Przecież jako akademikowi i starszemu panu, ojcu dorosłych dzieci nie wypada już teraz ani myśleć, ani pisać o tym, a tu wciąż wyjeżdżają z dawnymi grzechami — i kto? Kolega Karol. Ładny kolega!

Całym wiślcie skomplikowanym zagadnieniem „matżeństwa koleżeńskie” załatwia się Irzykowski w sposób bardzo uproszczony. Też swoją zapożyczył od prababki, nieboszczki z przed dwustu lat. Każe, „cnotkom” chodzić po świecie z natkniętym, świętym dziełstwem, że to niby dziewictwo pozostaje — według niego w dzisiejszych kryzysowych czasach jedynym posagiem pań na wydaniu. Arcyciekawa, niemal rewelacyjna, teza! Sic.

Nie mniej „ciekawym” jest szkic „Mgły na Parnasie”. Irzykowski zabawił się w belfra i to w lichego belfra. Opowiedział szerokiej publiczności piątą przez dziesiątą o „Awangardzie” i zanalizował wiersz Juliana Przybosa p. t. „Lpiec”. Mądrość polega na tym, że

wyjaśnił ludziskom, co znaczy „na świadectwach odlecieli uczniowie”. Tak. Do tego doszło... To też nie dziwne, że Irzykowski znajduje się w stanie, kiedy się już „kruszy kopię nawet w obrobie grafomanii”, kiedy się uważa, że „naogół jest grafomania objawem socjalnym dodatnim”. Może, ale to już jest kropka nad i. Jeśli grafomania ma być „poezją wśród ludzi” to — dziękuję bardzo, wolę się obejść.

Najciekawsze są kłopoty Irzykowskiego („Kłopoty krytyka”). Nasz kupiec z Nalewek powiedziałby! „Obym nie miał większych kłopotów!” Ale... jakież to one są? Otóż najróżnorodniejsi autorowie przysyłają książki p. Irzykowskiemu i proszą o napisanie recenzji, a pan krytyk — owszem, ale... nie pisze.

Dlaczego? Bo w warsztacie jego gromadzą się stosy książek. Jeszcze dawniejsze nie są załatwione, a już nowe napływają. Jeżeli zaś „krytyk przy moim zajęciu literackim ma jeszcze inne, z którego czerpie właściwy zarobek, ogarnia go wobec tego napytyu coraz większa melancholia”. To też nie nie czyta — „ogranicza się do rozcinania kartek”. Według mnie, to i to za wiele. A więc krytyk kładzie się spać, a książki czekają. Czekają, czekają, aż zaczynają się buntować — „nie chcą już czekać. Idzie od nich głuchy szmer, który w

duszy krytyka krystalizuje się jako głos jego własnego sumienia”.

Sumienie, sumieniem — mówi Irzykowski — ale krytykowi pisać się nie chce. Dlaczego? Odpowiada na to zupełnie szczerze i bez ostonek. Postuchajcie — ciekawe. „Ludziska — mówi — wyobrażają sobie, że krytyka powinien swoją funkcję sądenia pełnić za darmo, a nawet, że ona jest dla niego jakąś specjalną przyjemnością jak wódka dla pijaka”. Ludziska nie chcą zrozumieć krytyka, Irzykowskiego. Przecież człowiek nie jest z drewna, — musi z czegoś żyć. Dziecko już dziś wie, że bez monety żyć nie można. „Gdyby tego samego grafomana bolaty zęby — a żyć mu. Żeby to się działo jak najczęściej — poszedłby do lekarza i zapłaciłby mu honorarium. Ale od krytyka wymaga się krytyki, jak od księdza pociechy religijnej”. Taka to jest bezcelność i naiwność (młody pisarz jest pełen sprzeczności) młodego pisarza. Przysłał książkę z listem. Mistrzu — pisze — proszę cię, napisz, nie zapomnij! Żeby załączyć pięciozłotówkę — na to bęwał rozum nie ma.

Ale w takim razie, skoro bez forsy, ani rusz, to cóż ma zrobić „młody poeta, który przyjechał do Warszawy, aby się zanurzyć w tutejszej kniei literackiej”? („Vademecum wśród warszawskiej kniei literackiej”). Cóż on ma zrobić z tym swoim „talizmanem, z tym zbiorem wierszy, powieścią, czy dramatem”? Któż mu pomoże, sko-

ro — bez forsy ani rusz, a biedaczysko ma płótno w kieszeni? Krytyk z wyż. wymienionej przyczyny ani słówka o nim nie pisze, zresztą jest zawałony pracą. Nie ma również sensu pójść „do przybytku, Krakowskie Przedmieście l. 32 parter, tam gdzie kolumny, klasyczne posągi i wielki stary kominek, dziś funkcjonujący tylko w dniu parady”, a który jest najdoskonalszym symbolem PALU. Zresztą „panowie akademicy — mówi Irzykowski — zajęci są wciąż czytaniem literatury bieżącej oraz kilkuset utworów nadestanych na różne konkursy, ocenami indywidualnymi nie zajmują się”. Nie ma więc młody pisarz żadnych szans. Zresztą z dobrego serca radzę mu, aby zrezygnował ze swoich ambicji. Jeśli zaś pragnie koniecznie zwrócić na siebie uwagę ogółu niech komus da w łeb, wtedy na pewno napiszą o nim w gazetach, a może nawet, w dzisiejszych warunkach uda mu się zrobić karierę.

2.

## MORDOBICIE I WALKA NA IMIONA.

Muszę się przyznać, że o Iphorskim dotychczas zupełnie nie słyszałem. No i patrzcie! Człowiek wytypował. Stał się jedną z najpopularniejszych figur w Polsce. Przecież dzieci o nim gadają. Córeczka moja, uczennica V oddziału szkoły powszechnej nie daje mi spokoju. Lubi mała sensacje i Iphorski ekscytuje ją tak sa-

mo, jak w swoim czasie bandyta Zielinski.

I o co mu chodziło? O ten wiersz? Co tam takiego znalazł w tym wierszu? Są to przecież, nic więcej, jak pobożne wynurzenia pocziwego katolika w stylu Rostworowskiego (tak przynajmniej mówi Ksawery Pruszyński). Przecież chyba nikt nie wątpi, że Stoniński, wychowany przez Francuzkę, która Żydom ręki nie podawała (tak sam o sobie pisał) jest z gruntu, z prapradziada katolikiem i to pobożnym katolikiem. Oj, gdyby stary Chazas (pseud. dziadka Stonińskiego) powstał z grobu i widział swojego wnuczka... Przepraszam, gdyby go widział — poznałby go, ale gdyby go czytał byłoby gorzej...

A jednak — może wybaczylby mu stary, mądry Chazas, a może nawet litowałby się, gdyby się dowiedział, że już zbito, skopano... że trudno... że jednak Żyd, że tu nikt i nic nie pomoże. Bo pięć Iphorskich dosięgnie wszystkich w szędzie — i w Ogrodzie Saskim i na ulicy, i na uczelniach — tacy już oni są „patrioci” — Iphorscy.

Nic też dziwnego, że w atmosferze ipohorszczyzny największym smartwieniem Stonińskiego jest, że Stanisław Piasecki nazywał Parandowskiego Jojną. Za to znów Stoniński nazywa Piaseckiego Strulem. Walczą więc na imiona Sruł, Jojne i Nusen (Antoni). Wspaniały temat dla Gombrowicza. Bo też jest to już szczyt infantylizmu.

ELG.



